Nr 45 (1193). Warszawa, 25 Października (7 Listopada) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za posrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Ustępstwa i gabinet.

Wbrew powątpiewaniom tu wyrażonym, a podzielanym przez liczne dzienniki, przy wciąganiu wskazówek politycznych na listę faktów prawdopodobnych, rządzące się krytyką, Stefanowi Tiszy, synowi wielkiego, na miarę doby obecnej wielkiego, Kolomana Tiszy, udało się utworzyć gabinet nietylko reskryptowy, ale rzeczywiście parlamentarny, mający zapewnione słowami poparcie większości sejmowej, jak wiadomo, składającej się w głównej masie ze stronnictwa liberalnego. Czy pomimo takiego zapewnienia, a w razie zgodności słów głośnych z cichemi zawsze, bo tajonymi zamiarami tego lub owego odłamu, tej lub owej osobistości bardziej wpływowej, pomimo rzeczywistego też poparcia — gabinet ten trwałym będzie? Tego powiedzieć nie można bez niebezpieczeństwa dla prawdy, którą w polityce wytwarza zawsze, nie chęć, nie zamiar, nie zobowiązanie, ale czyn, częstokroć wywołany przez nagły, nieprzewidziany zwrot woli działającej — najczęściej pod wpływem ambicyi, żądzy znaczenia i władzy, namiętności podmiotowej, zaślepiającej co do przedmiotowej wartości przekonań, haseł i sztandarów stronniczych.

Hr. Apponyi, który ze swojem stronnictwem narodowem, wśród walki właśnie o słynne *i* w intytulacyi panującego, państwa i armii, wytworzonem przed kilkunastu laty, wszedł był później do stronnictwa liberalnego, obecnie miał zamiar oderwać się od większości rządzącej za pośrednictwem ministrów, aby na własny rachunek założyć kantor polityczny, któryby z haseł chwili bieżącej mógł uczynić towar kurantowy — dający nadzieję sutych zarobków i skapitalizowania ich we władzę rządową nad Węgrami. Gdy jednakże poznał chwilowe usposobienie w swoich szeregach, gdy zwłaszcza ujrzał się opuszczonym przez Hodossego, który przyrzekł był poparcie Tiszy, ambitny człowiek zaniechał zamiaru i, jak wieść niesie, zamyśla nawet, po złożeniu prezydyum Izby poselskiej, zupełnie porzucić zawód czynnego polityka. Nie potrzeba mówić, że głównie na tem niepowodzeniu Apponyi'ego wzniosło się powodzenie Tiszy i spoczywa nowozbudowany przezeń gabinet. Jeżeli się cośkolwiek znowu przesunie i przewróci w podstawie, zachwiać się też będzie musiało i to, co na niej stoi; a zaburzenie może przyjść łatwo, jak deszcz, jak grad, bo atmosfera wciąż upalna, a niebo zachmurzone. Namiętności wytwarzają główny zrąb dziejów każdochwilowych, nie rozumny.

P. Hodassego, głównej wspory nowej konstrukcyi politycznej, niema w gabinecie, i to właśnie jest znakiem niedobrym. Rzeczywiście nowymi ludźmi są: Nyiri, minister honwedów po Fejerwarym, który tak wrósł był już w swoje stanowisko, że zdawało się, iż na niem umrze: zwaliła go burza na jego właśnie ministeryum skierowana, Hieronymi, min. handlu, i Berzevicsy, minister oświaty i wyznań, niegdyś ich sekretarz. Inni, jak Lukacs, kandydat na prezesa podczas przesilenia i *persona grata* króla, Płosz minister sprawiedliwości, Csech, minister Chorwacyi, urzędowali już w poprzednim gabinecie. Sam Tisza będzie ministrem spr. wewnętrznych, on też pełnić ma zastępczo i obowiązki ministra przybocznego w Wiedniu. Ministrowie złożyli już przysięgę królowi—sprawa łatwa — złożyć już musieli deklaracyę sejmowi — sprawa trudniejsza. Przypuszczając, że stary Ugron, oryginalny radykał, katolik i patryota najczerwieńszego znaku, ze swoją garstką nawet się nie odezwał, niepodobna przypuścić, aby Stronnictwo Niezawisłości nie zrobiło burzy. Zaręczenia są czcze, a jeśli w nie wierzy Tisza, mogą się stać dla niego pułapką. Jaka dobra połowa Niezawisłych i Niepodległych, z r. 1848 i 1849 musiała w dawnym rytmie wytrwać. Czuwają nad tem, już jeżeli nie posłowie gorętsi politycy praktyczni, urzędownie powołani, to studenci. Na samą wieść o poddaniu się Apponyi'ego pod nowy porządek rzeczy wyprawili mu *Pereat*—nawet Apponyiemu.

Los deklaracyi ministeryalnej w Izbie zależy od poglądu Niezawisłych i Niepodległych na owe punkta, które ułożyła komisya dziewięciu ze stronnictwa liberalnego wydzielona, jako minimum żądań narodowych w sprawie wojska. Przypominamy, że było tam i oddzielenie węgierskiej części zaciągu wojskowego od przedlitawskiej, i oficerowie węgierscy dla Węgrów i nauczanie żołnierza po węgiersku i akademia węgierska, z wykładami węgierskiemi i sądy własne z językiem węgierskim—wszystko czego potrzeba dla zaznaczenia odrębności, która do zamienienia się w zupełną samoistność potrzebowałaby już tylko sztabu generalnego i komendy węgierskiej. Tej komendy właśnie król dać nie chciał i ostatecznie nie dał. Nie żądała jej nawet i owa komisya, w zamian jednak za nią prerogatywę korony ścieśniła bardzo znacznie, stanowiąc, iż prerogatywa korony może być ograniczoną przez uchwałę sejmu. Na to również zgodzić się nie chciał król, i stanęło wreszcie na tem, że jeśli prerogatywa ma być zmienioną, to tylko na drodze konstytucyjnej. I to już jest zyskiem, bo król nie

będzie mógł już teraz wydać nowego reskryptu z Chłopów, a prąd prawa, gdy już raz się pojawił, wciągnie i całość prerogatywy pod konstytucyę. Nie bez zasady biadają Niemcy Przedlitawscy, że za lat kilka, za dziesięć najpóźniej, Węgrzy będą mieli własną armię. Lat dziesięć? Czy ich Przedlitawia doczeka? W każdym razie ważniejsze jest biadanie Węgrów, że im się krzywda stała przez ugodę, a utyskiwań takich i gniewów nie zbraknie; choćby nawet pierwsze natarcie Tisza szczęśliwie przetrzymał, nie oszczędzi mu los dalszych, ustawicznością swoją sroższych. Wogóle nowe zażegnanie niebezpieczeństwa wydaje się tylko nowem załataniem dziur w płaszczu—przeciw burzy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bardzo ważna wiadomość nadchodzi z Dalekiego Wschodu: wojska rosyjskie wkroczyły do Mukdenu, w którym dotychczas jeszcze władał rząd Chiński. Reuter donosi, że dwa małe oddziały rosyjskie wtargnęły na „terytoryum japońskie“. Co by to było terytoryum? Japończycy mają tylko dwie na Korei miejscowości od południa, nad kanałem. Opanować je można tylko, wysadzając wojsko z floty, a do tego znowu potrzebaby stoczyć bitwę flotą japońską. Za to prawdopodobnem jest przekroczenie Yalu, choć telegram, przecząc, wymienia Walu, w Mandżuryi, więc na obszarze uległym już zajęciu rosyjskiemu, po opanowaniu Mukdenu szybko rozszerzającem się ponad m. Żółte. W tamtej stronie, od północo-zachodu Korei, naprężenie militarne jest rzeczywistem, i tam też szukać należy tego Jonghamp-ho, w którem Rosyanie wznieśli fortyfikacye; o fortyfikacyach zresztą dawniej już doniesiono. Równolegle z Tokio wiadomość, że poseł rosyjski — p. Pawłow, czy baron Rosen — konferuje z Komurą, ministrem japońskim, i że porozumienie się jest teraz „bliższem“ — czego? pokoju czy wojny?

Hr. Lamsdorff d. 28 z. m. przybył do Paryża. Natychmiast odbył naradę z samym prezydentem, z udziałem Delcassego. Przedmiotem narad: Daleki Wschód, zbliżenie się Francyi do Włoch i porozumienie się Anglii z Francyą — niewiadomo jakie. Zresztą doniesienia o obiadach i spacerach.

Sejm galicyjski obradował jeszcze 4 b. m. Wzmacniając poprzednią swą uchwałę o skorzystanie z otwartego już przez min. oświaty kredytu na gimnazyum w Stanisławowie, większość na wniosek zmyślnej komisyi postanowił d. 29 z. m. nie otwierać na teraz tego gimnazyum na drodze zwykłego w takich wypadkach postępowania. Wskutek tej uchwały Rusini wystąpili z sejmu. W tym samym Stanisławowie tego samego dnia podczas wyborów do kasy chorych wybuchły bardzo poważne rozruchy. Namiestnik wydał i zaraz cofnął rozporządzenie do magistratu lwowskiego o rusińskich odezwach do Rusinów.

Tiszy udało się złożyć gabinet. W odłamie Apponyi'ego zmiana frontu. Sam przewódzca nie grozi już wystąpieniem ze str. liberalnego, a Hodossy wymownie poparł Tiszę. I niezawisłość nawet się namyśla. Węgrzy zyskają wszystko czego chcieli, z wyjątkiem komendy węgierskiej i prawa sejmu do ograniczania praw wojskowych króla. Studenci demonstrują przeciwko Apponyi'emu jako złemu patryocie. Gabinet Tiszy złożył przysięgę d. 3 b. m

W Paryżu krwawe rozruchy robotnicze w d. 29 z. m. z powodu nadużyć, jakich się dopuszczały prywatne biura pośrednictwa w pracy. Na urzędowej Giełdzie Pracy tłumne zebrania policya najściem gwałtownem znieważyła. Walka z nią dwukrotna zaostrzyła się krwią.

D. 1 b. m. odbyły się wybory w Sofii — spokojnie wybrano 146 rządowców i 43 przeciwników. W Serbii wykryty spisek; należało go wyczuć już z owych protestacyi oburzonej uczciwości w Niszu.

W Bilbao walki z robotnikami. Stan oblężenia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Walka konserwatystów z ludowcami. — Wiec w Środzie. — Policyjna pomoc konserwatystom. — Centrowcy a Polacy. — Procesy. — Lekarze-hakatyści.

Walka przedwyborcza wre znowu na całym obszarze prowincyj polskich, zwłaszcza w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, gdzie ostro ścierają się konserwatyści z t. zw. „ludowcami.“ Ponieważ w komitetach posiadają większość zwolenicy konserwatystów, a ogół wyborców jest im przeciwny, przeto dochodzi do ustawicznych zatargów pomiędzy komitetami a wyborcami. Zwolennicy konserwatystów znajdują się zwykle w mniejszości, więc uciekają się do najrozmaitszych sztuczek, zapożyczonych od współbraci galicyjskich. Zwoływanie wieców w nieodpowiednim czasie, tendencyjne niedopuszczanie do głosu niemiłych komitetowi mówców, sztuczne wytwarzanie większości, fałszerstwo przy obliczaniu głosów, rozbijanie zebrań i uciekanie się pod opiekę policyi pruskiej, która zebrania rozwiązuje — oto środki używane przez konserwatystów w celu zgnębienia „ludowców.“ Oburzenie na taką taktykę wzrasta w szerokich kołach ludności, a ponieważ najbezwzględniejszymi krzykaczami i rozbijaczami zgromadzeń są przedewszystkiem księża, przeto oburzenie to zwraca się w pierwszej linii właśnie przeciw klerowi.

Przyjrzyjmy się bliżej jednemu z tych wieców, ażeby mieć ogólne pojęcie o tem, jak wyglądają.

Wiec ma się odbyć w Środzie, w jednym przeto z tych punktów, gdzie konserwatyści nie chcą dopuścić ponownej kandydatury posła Głębockiego, jednego ze zwolenników tego „ostrego tonu,“ który mu zdobył tak wielką popularność w szerokich kołach społeczeństwa. Zmyślano już różne powody, dla których poseł Głębocki miałby być usunięty od ponownego posłowania, ale nic jakoś nie pomogło. Wyborcy domagają się kandydatury p. Głębockiego. Postanowiono więc urządzić się inaczej. Ponieważ okrąg, w którym dotychczas kandydował, składa się z trzech powiatów, przeto chciano postawić kandydaturę p. Głębockiego w każdym z tych powiatów na trzeciem albo na drugiem miejscu, tak aby na walnem zebraniu delegatów z całego okręgu wyborczego, zwykle zatwierdzającem kandydaturę osoby, znajdującej się na pierwszem miejscu, ta upadła. Właśnie w Środzie miano nie dopuścić p. Głębockiego na listę i dla przeprowadzenia tego zamiaru postanowiono urządzić się w następujący sposób:

Ogłoszono, że zebranie odbędzie się nie w niedzielę, jak zwykle, lecz w piątek z tem wyrachowaniem, że rzemieślnicy,

---

Hans Leuss.

Z więzienia poprawczego.

Autor tych szkiców, poseł do parlamentu i publicysta, chcąc osłonić cześć kochanej kobiety (mężatki), zaprzeczył pod przysięgą w badaniu sądowem, że pozostawał z nią w blizkich stosunkach. Gdy następnie ona do tego się przyznała, skazano go za krzywoprzysięstwo na 3 lata więzienia, z którego wyszedł zupełnie przeistoczony duchowo i wyniósł świeżo wydane opowieści, będące dziś przedmiotem szerokiej uwagi i roztrzasań w Niemczech. Z książki jego, owianej duchem tołstoizmu, podamy w przekładzie kilka wymowniejszych ustępów.

Długie śledztwo wywiera zwykle przygnębiające na obwinionym wrażenie, szczególniej straszne i dręczące, jeśli ani o wynikach sprawy, ani o czasie jej trwania żadnej nie można mieć pewności. Do wszystkich cierpień przewlekłego zamknięcia, dołącza się nieznośna męka oczekiwania. Człowiek złamany, który się ledwie ocknął z ciężkiego snu popełnionego przez siebie wykroczenia, łatwiej znieść może ten stan tymczasowości. Lecz co się dziać musi w duszy tego, kogo duch złego popchnął do zbrodni zabójstwa, kto oprzytomniawszy, z przerażeniem zadaje sobie pytanie: tyżeś-to mógł uczynić?! tyś się na to ważył?! tyś zamordował?! Kto jest w stanie wejść w położenie takiego człowieka? zrozumieć zamęt, ogarniający duszę istoty, która nagle obok swego człowieczeństwa ujrzała dzikie zwierzę kryjące się w głębi, zdolne do takich czynów, o jakich to drugie, ludzkie jej „ja“ najmniejszego pojęcia nie miało? Kto może sobie wyobrazić uczucia takiej rozdwojonej duszy, skazanej na długie oczekiwanie dnia sądu, wyroku i kary? Straszne, wstrętne są powikłania zbrodniczości.

Mój obrońca przyniósł mi do czytania między innemi „Raskolnikowa“ *) Dostojowskiego, znakomite dzieło analizatora „pospolitego“ morderstwa, popełnionego przez człowieka, bardzo podniosłego umysłu. Szkoda tylko, że siła nie dopisała, poecie, że nie przedstawił nam tryumfu „Zmartwychwstania“ w Syberyi. Inny Rosyanin, uczynił to po nim. Tołstoj przykuwa nas nie swymi obrazami zwierzęcości w człowieku, nędzy jego i upadków, lecz swym optymizmem moralnym, swą wiarą w „wieczne ja“. Ukazuje nam on we wzajemnem na siebie oddziaływaniu: naprzód bagno przysłonięte gładkiemi formami i elegancyą które się „towarzystwem“ nazywa, potem to drugie wstrętne nierządu i występku; następnie bezmyślnego arystokratą, który dla dogodzenia swej zwierzęcości wtrąca kobietę w otchłań zepsucia i staje przed nią w charakterze sędziego, ale obudzone sumienie, krzyczy mu „nie sądź“; nakoniec współzawodnictwo dobroci i wielkoduszności, w którem biedna kobieta dorównywa swemu uwodzicielowi, a nawet go przewyższa — wszystko zaiste, co jest najszlachetniejszym objawem ludzkości, człowieczeństwa i czemu mimowiednie hołdują ci nawet, którzy sarkając na nazarcizm Tołstoja, wmawiają w siebie, że podziwiają tylko badacza moralności i anatoma psychologicznego.

Niewiele wiedziałem o Tołstoju, kiedy wchodziłem do więzienia, nie poznałem go też lepiej podczas mego w niem pobytu. Ale jakież było moje zdziwienie i radość, kiedy po wyjściu na swobodę znalazłem cały świat zajęty czytaniem „Zmartwychwstania“. Powodzenie tej powieści świadczy jawnie, że pomimo pozornej obojętności na niedolę kryminalistów, kary i wygnanie, pomimo panoszenia się krwiożerczego barbarzyństwa, szlakiem czasu dążyć i wzdymać się zaczyna nowa fala wyswobodzenia, protestu przeciw przesądowi i tradycyjnej zarozumiałości urządzeń karnych.

Roskolnikow Dostojewskiego wywarł potężne na mnie wrażenie. Wyrwał mnie

*) Zbrodnia i kara.

kupcy i robotnicy, zajęci pracą, nie będą mogli przybyć. Prócz tego, ponieważ piątek jest dniem targowym, a o godzinie 11, na którą wiec zwołano, targ dopiero na dobre się rozpoczyna, przeto komitet liczył, że obsadziwszy salę zawczasu swymi zwolennikami, znajdzie przeciw sobie tylko nielicznych przeciwników. Dla większego zamieszania zapowiedziano wiec w dwóch salach.

Jednakże ludowcy nie dali się wywieść w pole i pomieszali konserwatystom szyki. Na sali znalazło się około 800 osób; była ona zamknięta aż do przybycia organizatora wiecu — ks. Świdzińskiego, ażeby przypadkiem przeciwnicy nie wypełnili jej zawczasu, jak to już się niejednokrotnie zdarzało. W chwili, kiedy zostało ukończone konstytuowanie się biura, na sali ukazał się poseł Głębocki, przyjęty głośnymi okrzykami i oklaskami. Próbowano wznosić okrzyki i na cześć ks. Jażdżewskiego, ale były zbyt nikłe, ażeby mogły wywołać jakieś wrażenie.

Zanim ogłoszono porządek dzienny, ks. Świdziński wystąpił z obroną komitetu przed zarzutem, że postąpił nielojalnie, zwołując wiec w dzień targowy. Tłomaczył się bardzo słabo. Równie słabo odpierał zarzuty, dotyczące proponowanego przez komitet porządku dziennego. Chodzi o to, że na takich wiecach stają zwykle kandydaci w celu przedstawienia się wyborcom, gdy zaś takim kandydatem jest poseł, wówczas składa on sprawozdanie ze swej działalności. Otóż, konserwatystom chodziło przedewszystkiem o to, aby nie dopuścić p. Głębockiego do sprawozdania poselskiego. Rozumieli oni bowiem dobrze, że wobec ogólnie panującego nastroju opozycyjnego, ostra mowa posła Głębockiego usposobiłaby dlań bardzo sympatycznie tych nawet, którzy nie byli jego zwolennikami. To też komitet uparł się i postanowił wytrwać przy swojej decyzyi. Ks. Świdziński tak oto bronił stanowiska komitetu: „Jest to sprawa bardzo delikatna, ale wobec panującego naprężenia tem więcej należy przedstawić ją szczerze i otwarcie. Komitet wychodził z tego założenia, że każdy jego członek odpowiada nie za siebie, nie za osoby, lecz za większość wyborców w swoim okręgu. To też komitet powinien, gdy na posiedzeniu swojem decyduje o porządku obrad walnego zebrania, również wychodzić z tego założenia. Komitet w swojej większości doszedł do tego przekonania, że większości w powiecie kandydatura dotychczasowego posła jest niesympatyczna.“ Zaledwie ksiądz przewodniczący wypowiedział ostatnie zdanie, na sali, zapełnionej co najmniej w trzech czwartych przez zwolenników Głębockiego, zrywa się burza okrzyków: „Niech żyje poseł Głębocki!“, „Precz z księżmi!“, „Do kościoła z księżmi!“, „Gdzie miłość chrześciańska?“

Dopiero pod wpływem posła Głębockiego wrzawa milknie i ksiądz przewodniczący może przedłożyć porządek dzienny: 1) nauka o wyborach; 2) lista kandydatów poselskich; 3) wolne wnioski. Znowu następuje wrzawa. Wiecownicy wołają: Chcemy sprawozdania poselskiego, a potem dopiero nauki o wyborach. Ks. Jażdżewski, odgrywający rolę właściwego kierownika całej machineryi, szepce coś przewodniczącemu do ucha, ten dzwoni, tłum uspokaja się pomału. P. Deręgowski, ludowiec, wygłasza wniosek formalny, aby na pierwszem miejscu postawiono sprawozdanie p. Głębockiego. Ksiądz Poturalski żąda zatrzymania porządku dziennego komitetu. Ksiądz przewodniczący kręci się niezdecydowany i znów pocichu radzi się ks. Jażdżewskiego. Wiecownicy żądają poddania pod głosowanie wniosku p. Deręgowskiego. Powstaje krzyk, który przerywa ks. Jażdżewski, otrzymawszy głos w sposób zupełnie nieformalny. Twierdzi on, że ułożonego przez komitet porządku dziennego nie można zmienić i proponuje, aby p. Głębocki, jeśli chce, przemówił przy punkcie „wolne wnioski.“ P. Deręgowski ponawia swój wniosek i motywuje go, inni mówcy popierają p. Deręgowskiego.

W końcu ksiądz przewodniczący widząc, że inaczej nie da sobie rady, stawia pod głosowanie obydwa wnioski — p. Deręgowskiego i ks. Poturalskiego, ale tak, aby umożliwić sobie szachrajstwo. Mianowicie obydwa wnioski poddaje pod głosowanie jednocześnie, proponując, aby zwolennicy komitetowego porządku dziennego stanęli po lewej stronie sali, przeciwnicy zaś— po prawej. Można sobie wyobrazić, jak się takie głosowanie odbywać musiało w szczelnie zapełnionej sali. Nie obeszło się bez wrzawy, z czego skorzystał komisarz rządowy i oświadczył, że zebranie rozwiązuje. Hałas taki, że nikt tego nie słyszy. Wówczas ksiądz przewodniczący wskakuje na stół i obwieszcza zebranym pożądaną dla siebie wiadomość, można bowiem już było stwierdzić, że komitet został w kompromitujący sposób na głowę pobity.

Wiecownicy rozchodzą się z głośnymi okrzykami: „Niech żyje poseł Głębocki!“, „Precz z księżmi!“

W Brodnicy, w Prusach Zachodnich, na zebraniu wyborczem konserwatyści chwycili się bardziej uproszczonego sposobu działania. Oto, kiedy przewodniczący, ks. Doering, przekonał się, że lista ludowców ma za sobą olbrzymią większość zgromadzonych, przewodniczący komitetu, konserwatysta, wezwał sekretarza policyi, aby wiec rozwiązał. Jest to fakt niebywały, pierwszy w swoim rodzaju, ale dowodzi wymownie, do czego jest zdolna klerykalna reakcya.

Po wystąpieniu p. Napieralskiego z bytomskiego, centrowego komitetu wyborczego, panowało przekonanie, że wszyscy polscy redaktorowie, kierujący dotychczas ruchem polskim na Górnym Śląsku, znajdą się po za obrębem władzy centrum. Zwłaszcza dotyczyło to p. Koraszewskiego, redaktora *Gazety Opolskiej*, który i dawniej już objawiał pewne tendencye w kierunku usamodzielnienia ludności polskiej z pod wpływów centrum. A jednak p. Koraszewski wciąż jeszcze spodziewa się, że zgoda z centrum może zapewnić powodzenie kandydaturze p. Szmuli. Więc ze swą *Gazetą Opolską* nie poddał się władzy polskiego komitetu wyborczego, a wskutek tego i powiat Opolski, jeden z najbardziej polskich powiatów nietylko na Górnym Śląsku, ale i na całym obszarze polskich ziem Prus — pozostaje we władzy centrowców.

P. Koraszewski sam, zdaje się, uznaje niewłaściwość swego postępowania, gdyż tłomaczy się z niego i zasłania faktem, że Polski Komitet Wyborczy nie wystosował do niego kategorycznego żądania. Jest to naturalnie czcza wymówka, w gruncie rzeczy zaś p. Koraszewski tak się wdrożył w dotychczasowe sposoby postępowania, że ani rusz nie może z nimi zerwać. A jednak właśnie w okręgu opolskim najlepiej można było i można poznać dobrą wiarę centrowców w stosunku do ludności polskiej.

W tym okręgu urzędowym kandydatem centrowym był major Szmula, Polak-centrowiec. A pomimo to znaczna część centrowców przeciwstawiła p. Szmuli, jedynie dlatego, że jest Polakiem, własnego kandydata w osobie osławionego hr. Balle-

---

z koła myśli o własnym losie i zmusił do pozbycia się wyniosłości z jaką traktowałem upadłych synów ziemi i córki. Nie byłem ja, co prawda, nigdy zbyt surowy dla biednej prostytutki; w miarę jak inni pomiatali nią i gardzili, we mnie wzrastało instynktowne pragnienie, podniesienie i uszanowanie jej zbeszczeszczonej, człowieczej godności. Zdawało mi się przytem, że jestem człowiekiem bardzo ludzkiem. A jednak wysoki mur uświadomionej wyższości oddzielał mnie od tych nędzarzy i zatraceńców. Trwało to dopóty, dopóki nie zasiadłem na jednej z nimi ławie; od tej chwili wiele rzeczy ujrzałem jaśniej, a zaczęło mi się rozjaśniać, być może, tego dnia, kiedy głęboko wzruszony czytałem przez łzy opis tej sceny, gdy zabójca i prostytutka odczytują razem historyę marnotrawnego syna.

Dreszcz mnie przejmuje na samo wspomnienie badanie świadków, które się wiele dni ciągnęło; nie ze względu na pogorszenie mojej sprawy, gdyż za to ja sam tylko jestem odpowiedzialny, nie moja wspólniczka winy, a bardziej nawet niż ja, nowe zupełnie okoliczności, które w czasie procesu na jaw wyszły — lecz nie można bez dreszczu rozpatrywać krytycznie całego prowadzenia rzeczy.

Chciałbym przy tej sposobności zwrócić uwagę na pewien typ świadków, niezmiernie niebezpieczny w sali sądowej. Znałem człowieka bardzo użytecznego jako agitator, który lubił ten rodzaj działalności, ale był szkodliwy na innych polach, gdyż miał się za krytyka i reformatora, wskutek czego wywoływał ciągłe starcia. Był on z tych ludzi, co są przekonani, że wszystko najlepiej wiedzą i w sprawach, które obudziły ich zainteresowanie, przyjmują gorący udział, starając się wpływać decydująco. Oni to właściwie—ci dostarczyciele najpoważniejszych nowości, ostatecznie rozstrzegający rzeczoznawcy, najważniejsi świadkowie, zdolni politycy, adwokaci lub sędziowie—przyczyniają się najgłówniej w każdym procesie karnym do postawienia sceptycznego zapytania: Co jest prawdą?

Porucznik X. był nieprzyjaźnie usposobiony dla mego przeciwnika. Na krótko przed katastrofą ten ostatni ostrzegał mnie co do porucznika X. i udzielił mi pewnej o nim informacyi, stwierdzającej, że p. X. dopuścił się niedyskrecyi. Wskutek tego ja przestałem go znać. Po awanturze dowiedziałem się, że mój przeciwnik starał się o poparcie pana X. i otrzymał je z wielkim dla siebie pożytkiem.

Porucznik X. i jego żona, wystąpili jako świadkowie w mej sprawie i złożyli najbardziej obciążające zeznania. Ten pan oświadczył przedewszystkiem, że dlatego zerwał ze mną stosunki, gdyż przewidział zbliżającą się katastrofę. I przekonany jestem, iż on, tak wówczas jak dziś, był najmocniej przeświadczony o prawdzie swego twierdzenia, że to on, nie ja, pierwszy przestał mi się kłaniać. Tenże sam świadek, gdybyśmy byli zachowali dobre stosunki do końca, byłby jak najgoręcej, w tejże samej sprawie zeznawał na moją korzyść i to z najzupełniejszą dobrą wiarą; tego rodzaju ludzie bowiem są ofiarami swych sympatyj i antypatyj, a wyobrażają sobie, że mają jakieś moralne posłannictwo do spełnienia. Są to fanatycy słuszności, i uciśnionej niewinności, obrońcy obrażonej cnoty. Dziwnemi drogami chodzą ludzkie sądy.

Zeznanie tego człowieka na pierwszem, przedwstępnem badaniu miało duże dla sprawy mojej znaczenie. Później jednak, podczas procesu, rzeczy przyjęły inny obrót. Pan X. występował w dalszym ciągu z niezmienną gorliwością. Konferował z prokuratorem, dostarczał mu nowych materyałów. Ale też—i to jest charakterystyczne—ten, który zerwał znajomość ze mną, dlatego że podejrzewał naturę stosunków moich ze wspólniczką mej winy, nie umiał odpowiedzieć na moje pytanie, czy nie miał bliższego stosunku z obecną swoją żoną, wówczas, kiedy ona była jeszcze, żoną innego—i tem siłę swego zeznania osłabił. Niezawsze jednak udaje się tak łatwo świadka tego rodzaju wyrzucić z siodła. Tem większe powyższy przykład powinien

strema. I teraz, przed wyborami do sejmu, centrowcy w Opolskiem intrygują ze wszystkich sił przeciwko Szmuli, a p. Koraszewski bawi się w politykę delikatności i „lojalności.“

Ta polityka jest tembardziej niemądra, że zupełnie niepraktyczna, gdyż centrowcy górnośląscy już otwarcie powstają przeciwko wszelkim, najniewinniejszym nawet krokom Polaków. Pomimo łagodności i chwiejności wystąpień *Katolika*, cała prasa centrowa rzuca się nań w artykułach nadzwyczaj ostrych. Jedyna *Kölnische Volkszeitung* stara się zachować pewną objektywność. Natomiast główny organ centrum, *Germania*, jako też śląskie pismo centrowe, *Schlesische Volkszeitung* i *Neisser Ztng*, wypowiedziały Polakom wojnę na całej linii. Zamieszczają one artykuły w tonie nadzwyczaj ostrym przeciwko komitetowi wyborczemu, towarzystwu ludowemu, obu księżom, należącym do komitetu polskiego, a głównie przeciw *Katolikowi*. Biedny p. Napieralski, który tyle lat służył centrum wiernie, z psią poprostu uległością, który nawet dzisiaj wszelkich sił dobywa, aby tylko łatać z niem zgodę, w artykułach tych został przedstawiony jako rewolucyonista. Centrowcy zarzucają mu, że w ciągu długich lat przebiegle wodził ich za nos, że już przed wyborami do parlamentu miał gotowy cały plan zerwania z centrum i teraz ten plan wykonywa, że czyni to z pobudek materyalnych itd.

Jeśli zważymy, jak mało stanowczemi są wystąpienia p. Napieralskiego, jak skłonnym jest on do wszelkich kompromisów z centrum, do stawiania wszelkich interesów katolickich wyżej niż polskich, to zrozumiemy, że centrowcy tak już daleko poszli w swym hakatyzmie, iż najdrobniejszy objaw samodzielności ze strony Polaków uważają za bunt i rokosz otwarty.

Dla naradzenia się nad środkami walki z „rokoszem“ kardynał Kopp zwołał do Wrocławia zjazd dziekanów górnośląskich, na którym uchwalono oświadczenie w duchu bezwzględnego podporządkowania się interesom partyi centrowej. Dziekani rozsyłają obecnie te oświadczenia do wszystkich księży na Górnym Śląsku, przyczem zmuszają ich do podpisania tego dokumentu. Całe to nowe przedsięwzięcie kardynała Koppa miało być zachowane w tajemnicy, ale któryś z księży zdradził się i oświadczenie znalazło się niespodzianie w *Górnoślązaku*. Ta niespodzianka zmieszała hakatystów w sutannach, tembardziej, że kompromitowała ks. Koppa. Oświadczenie bowiem posiadało wstęp, brzmiący w te słowa: „Na zebraniu dziekanów górnośląskich we Wrocławiu uchwalono oświadczenie, potwierdzone przez Jego Eminencyę.“

Obecnie, kiedy „oświadczenie“ narobiło już dużo hałasu w prasie polskiej, *Schlesische Volkszeitung* zamieściło je wraz z podpisami księży z ośmiu dekanatów. Tylko *sześciu* księży w tych dekanatach odmówiło podpisu. Tyle więc jest na Górnym Śląsku księży, którzy mają odwagę otwarcie „podnieść“ rokosz przeciw centrum. Ciekawe, że w *Schlesische Volkszeitung* znikł zupełnie ów ustęp, kompromitujący ks. Koppa, a pismo centrowe stara się wmówić ludziom, że ksiądz kardynał nie ma nic wspólnego z całą tą sprawą.

W ostatnich czasach znowu się posypały liczne procesy na redaktorów polskich. Poseł Kulerski został skazany na miesiąc więzienia za obrazę szkoły pruskiej. Redaktor Piechulek z *Głosu Śląskiego* dostał karę pieniężną 100 marek. Paru redaktarów *Górnoślązaka* znowu poszło do więzienia. Ale najobficiej spadają procesy na katowicką *Gazetę Robotniczą*. Niezbyt dawno wyszedł z 18-miesięcznego więzienia p. Haase, jeden z jej redaktorów, drugi redaktor, Morawski, osądzony został na 2 i pół roku więzienia, 12 listopada opuszcza więzienie pani dr. Golde po rocznej karze, a świeżo znowu dwóch redaktorów otrzymało karę więzienia — p. Trąbalski 4 miesiące, p. Wojciechowski (skazany już uprzednio na 6 miesięcy) — 9 miesięcy. W najbliższych dniach znowu staje przed kratkami sądu bytomskiego odpowiedzialny redaktor *Gazety*, p. Piontek, zarządca drukarni p. Morawski i wydawca p. St. Thiel z Berlina. Policya pruska, a zwłaszcza komisarz graniczny, Mädler, postanowili za wszelką cenę zgnębić i zniszczyć pisemko katowickie.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia daje się zauważyć na Górnym Śląsku napływ jednostek z polskiej inteligencyi zawodowej. Coraz tam więcej Polaków-lekarzy, adwokatów, budowniczych, techników itd., przyjeżdżających z Poznańskiego i Prus Zachodnich do miast górnośląskich a wzmacniających tam nader szczuplutką dotychczas warstewkę inteligencyi pochodzenia miejscowego. Niemcy spoglądają na to najście z wielkim niepokojem, ponieważ rozumieją, że rozrost liczebny inteligencyi górnośląskiej mocno zagraża ich „stanowi posiadania.“ Owocem takiego niepokoju była uchwała towarzystwa lekarzy obwodu przemysłowego, zapadła w tych dniach na zebraniu lekarzy niemieckich w Hucie Królewskiej.

Chodziło o wolny wybór lekarzy w kasach chorych, którego domagają się obecnie liczne koła społeczeństwa niemieckiego. Reforma wyszłaby bardzo na korzyść ludności polskiej, która obecnie znajduje się w położeniu wyjątkowem. Tak np. w górnośląskim obwodzie przemysłowym żyją dziesiątki tysięcy robotników polskich, którzy należą do kas chorych o zarządach niemieckich. Te zarządy narzuciły dziesiątkom tysięcy polskich robotników lekarzy-Niemców, albo mało, albo też nawet wcale nieumiejących po polsku. Porozumiewanie się z chorymi za pomocą sług jest na Górnym Śląsku zjawiskiem najzupełniej normalnem. Ma się rozumieć, że wina takiego stanu rzeczy leży w znacznej mierze w ciemnocie i bojaźni samych robotników, gdyż przy lepszem wyrobieniu społecznem mogliby oni wybrać większość członków zarządu i mieć go w swem ręku. Ale zanim do tego przyjdzie, reforma w duchu wolnego wyboru lekarzy byłaby dla robotników polskich rzeczą bardzo ważną.

Otóż towarzystwo lekarzy obwodu przemysłowego pod przewodnictwem dr. Hartmanna, nie mogąc nie uznać słuszności zasady wolnego wyboru lekarzy, oświadczyło się jednak przeciwko niej ze względów narodowych, ponieważ zaprowadzenie wolnego wyboru ściągnęłoby na Górny Śląsk mnóstwo lekarzy-Polaków. A więc względy konkurencyjne, przyobleczone w szatę narodową i tu tryumfują, tak samo jak i wszędzie, gdzie się ścierają dwie narodowości — panująca i gnębiona.

Pośrednik.

Kobięta a uniwersytet

Incognitus w *Kurjerze Warszawskim* poruszył kwestyę studyów uniwersyteckich dla kobiet. Coroczny odlot młodych dziewczyn, dążących do uni-

---

mieć znaczenie dla sędziów, przysięgłych i tych wszystkich, którzy ze względów teoretycznych lub praktycznych interesują się procesami karnymi. Tego rodzaju świadkowie, powtarzam działają zawsze w dobrej wierze; są zwykle ofiarami własnej lub cudzej suggestyi.

Jako oskarżony byłem osią dookoła której obracały się wszystkie czynności sprawy—wciąż potrzebny memu obrońcy, ale też nierzadko sam niecierpliwemi odpowiedziami wywoływałem zeznania, które dla mnie nie miały żadnego znaczenia. Na 70 świadków, z różnych sfer wybranych i zaprzysiężonych, ja jeden w całej sali wiedziałem wszystko. Wspomnienie tego, czemu się przysłuchiwałem w ciągu tych dni, wyryło się głęboko w mojej duszy; ale z tych wielu wrażeń, które wtedy otrzymałem nie byłbym w możności utworzyć sobie jasnego pojęcia ogólnego obrazu badań. Jeśli chwilami uwydatniały się takie szczegóły, które dla strony oskarżonej lub skarżącej mogły mieć pierwszorzędne znaczenie, to adwokat jednej lub drugiej ze stron, a często sam przewodniczący stracał fakt przez jakąś krytyczną uwagę do ważności drobiazgu, którym nie powinien był zostać, jeśli zadaniem tego procesu miało być ujawnienia czystej prawdy. Ja jeden tylko znałem wszystkie szczegóły tej prawdy, w której zakres całe moje życie było wciągnięte. Ja jeden mogłem ocenić; czy świadkowie, którzy korzystne wypowiadali o mnie zdanie, usiłowali użyć memu położeniu i oczyścić mnie z czynionego mi zarzutu, istotnie uważali go za bezzasadny. Wszystkie te roztrząsania spraw ubiegłych mego życia ja sam tylko mogłem sprawdzić. W owe dni i noce, spędzone w podnieceniu i bezsennych rozmyślaniach, kiedy z sali posiedzeń, pełnych ożywienia, wracałem do samotnej mej celi, nie mogłem jednak, pomimo tej świadomości, z masy piętrzących się przedemną szczegółów, wytworzyć sobie pełnego obrazu tych różnic, które odgradzały prawdę rzeczywistą od prawdy sądowej. Później dopiero —już po zapadnięciu wyroku, kiedy ucichły we mnie wszystkie burze, a przyszedł spokój, rezygnacya i znikło wszelkie pragnienie zemsty — uprzytomniwszy sobie szczegóły tego przejścia, struchlałem.

Cóż jest tedy prawdą w zeznaniach i poszukiwaniach sądowych, na których sprawiedliwość oprzeć musi swoje straszne wyroki? Co nadewszystko jest prawdą w takim procesie, gdzie sąd staje się sceną, na której tworzą się stronnictwa i rozgrywają opinie partyj? Czy niedość złego, że ci dwaj ludzie, którzy podejmując się oskarżenia i obrony, skrępowani swą ludzką naturą, muszą, aby zwyciężyć, wyrzec się przedmiotowości w przedstawianej przez siebie prawdzie? Tymczasem każdy ze świadków bierze też udział stronniczy w tej walce; nietylko sąd, wynikający z jego zeznania, jest stronniczy, ale nawet przedstawienie faktu. Nie chcę powiedzieć, że czyni to świadomie, ale w zasadzie nabrałem przekonania, że człowiek wogóle nie może być „sędzią“, nie może być „świadkiem“. W walce, stając po czyjejś stronie przeocza on i zapomina masę szczegółów, sam działa pod wpływem nienawiści i jakiegoś celu, a więc staje się niebezpiecznym, jak rozjuszone zwierzę, tymczasem zaś w chwili, kiedy on prawdę depcze, uważa się jednak za jej obrońcę i podporę.

Stanęliśmy więc u podstaw budowli którą chcemy w całości rozpatrzeć: na zeznaniach świadków zatem trzyma się wymiar sprawiedliwości, a bez nich upaść musi. Mówię tu z całą świadomością tego, na co się porywam. Być może ja, który skazany zostałem za fałszywe zeznanie, postąpiłbym taktowniej i z większą oględnością, gdybym się powstrzymał od krytyki. Ale wówczas ta książka nie miałaby racyi bytu, gdybym się lękał powiedzieć prawdę, dlatego aby czytelnika źle dla siebie nie usposobić. Sam mozolnie, drogą ciężkich i bolesnych, nie doświadczeń wyłącznie, lecz rozmyślań, doszedłem do tego przekonania, że zeznania świadków są niewłaściwą podstawą dla wymiaru sprawiedliwości i powtarzam, że wartość ich jest bardzo względna.

wersytetów, przejmuje „żalem i smutkiem“ serce p. Incognitusa, to też woła ostrzegająco: „nie tędy droga! tyle ofiar, tyle poświęceń, a tak wątpliwe korzyści!“ Zdawaćby się mogło, że uniwersytet to jakiś Moloch nowożytny, ziejący ogniem zniszczenia, że to jaskinia w którą niechybnie wpaść muszą te biedne dziewczęta. Kobieta przecież, według p. Incognitusa, „frwa ze swobodą i lekkością ptaszka, który drogi nie zna, nikogo o nią nie pyta i leci tam, gdzie go pogna wiatr i zachcenie!“ Więc czyha na nią nowożytny Moloch. Ale gdzież są te ofiary uniwersytetu?

Jeżeli będziemy mówili o ofiarach, to ofiarę z kobiety czyni i bez uniwersytetu życie z jego obecnym ustrojem społecznym. Ofiarę z kobiety czyni walka, którą staczać musi na każdym kroku współczesna dusza kobieca w dążeniu do człowieczeństwa.

Gdzież są te „poświęcenia“ dla uniwersytetu? Kilka lat pracy, rozszerzającej widnokrąg naszego myślenia, trochę niewygód, *dobrowolne* wyzwolenie się z „rodzinnego ogniska“, które tak często przypomina klatkę... oto i wszystko. Życie daleko większych nieraz wymaga od nas poświęceń — proszę tylko zajrzeć do dusz kobiet, którym uniwersytet nawet się nie śnił.

A co do „wątpliwych korzyści“ uniwersytetu, to nie mogą być wątpliwą korzyścią te zastępy pracowniczek, które się dziś szeroką falą rozlewają po świecie. To zresztą kwestya, która już dziś nie istnieje, wszędzie pogodzono się z faktem dokonanym: studyów i pracy kobiecej. Ale nie o rezultaty wyłącznie praktyczne zresztą mi chodzi, nie o korzyści materyalne — nie to tylko bowiem ma wartość realną, co da się wymienić na jakąś miarę praktyczną.

Wszystkie kobiety powinny iść po drodze, której chce nam wzbronić p. Incognitus, wszystkie o ile chcą i mogą. Niech śmiało idą po światło. Geniuszów wśród nas może nigdy nie będzie, więc i cóż z tego? Ale dajmy światłu przenikać mrok naszych choćby ptasich mózgów. W naturze nic nie stoi na miejscu, jest ciągła przemiana i ruch. Dlaczego by tylko ptasi mózg kobiecy miał wiecznie pozostawać w jednakowej formie? Dążenie do tego nie jest równoznaczne z usiłowaniem „przebrania się umysłowo za mężczyznę“. Dlatego, że chcemy czerpać z ogólnej skarbnicy wiedzy, nie przestajemy bynajmniej być sobą, rozszerzamy tylko sferę swego życia. Uniwersytet nie jest całą treścią i nie w uniwersytecie zamykamy wszystkie nasze cele i dążenia. Uniwersytet to tylko środek do rozejrzenia się, do nabycia wiadomości, do wyrobienia w sobie niezależności i charakteru. Tam każda z nas zostawiona sama sobie, za siebie odpowiada bez oglądania się na opiekunów i opiekunki. To ma może większe dla życia znaczenie, niż zdobycie fachowych wiadomości. A jeżeli w tej próbie niejedna z nas się łamie, to i co z tego? Jeszcze raz, powtarzam, łamie nas i tak — nie uniwersytet a życie, łamią nas ludzie i warunki społeczne, które dosięgają kobietę wszędzie, czy to będzie pracownia, fabryka, salon czy ława uniwersytecka. Niech każda z nas zresztą w tej walce o wyzwolenie, ma odwagę zapłacić, jeżeli o to chodzi i jeżeli jeszcze potrzeba „ofiary“...

Życie współczesne dalekie już jest jednak od tej organizacyi społecznej, „prostej i praktycznej“, do którejby chciał powrócić p. Incognitus. Tak, mężczyzna wówczas szedł na wyprawę, kobieta przerabiała przyniesiony łup na materyał użytkowy, w pocie czoła, przykuta do miejsca. Tak, to była „prosta i praktyczna“ organizacya społeczna... Dziś ciągnie kobietę dal, szeroki świat, słońce. Dziś ona chce się uczyć, chce wiedzieć, chce żyć wolna i swobodna. Po za prawami płci są jeszcze prawa istnienia. Wszystkie drogi powinny być dla kobiety otwarte. Ograniczać dostęp wiedzy dla kobiet i skierowywać wykształcenie ku „rodzinie i gospodarstwu“ wyłącznie, dziś już się nie da. Granicy zresztą w zdobywaniu wiedzy niepodobna nigdzie i nikomu logicznie zakreślać. Uniwersytet musi i powinien pozostać ogólną skarbnicą wiedzy, zbiornikiem skąd czerpać może światło każdy, zarówno mężczyzna jak kobieta. I to jest najpodnioślejsze zadanie uniwersytetu.

Niech więc idą tą drogą te wszystkie, którym leży na sercu rozwój istoty kobiecej, te wszystkie, które nowych dróg szukają, te wszystkie, których nie może zadowolić „cudowność“ pierwiastków, z których ma być złożona dusza kobieca, te wszystkie, które dążą do wyzwolenia i uświadomienia swych sił i zdolności. A potem, wróciwszy, niech, wchłonięte w siebie dobroczynne światła promienie, rozsiewają w około. Choćby to były słabe tylko promyczki, niech promieniują, może z czasem zdołają przeniknąć mrok otaczającego nas życia.

Gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo.

Dr. Stefania Suszczyńska.

NOTATKI SPOŁECZNE.

Szkoły za miastem. Idea przeniesienia średnich zakładów naukowych za miasto narodziła się w Anglii przed kilkunastu laty, a stamtąd przeszła do Niemiec, Francyi i innych krajów.

Jedną z pierwszych szkół zamiejskich w Anglii była szkoła w Abbotsholme, założona przez dr. Cecila Reddina, drugą szkoła w Bedales. Obie powstały w r. 1889.

We Francyi powstaje szkoła tego typu w Roches, za inicyatywą E. Demolins'a, autora książki „L'Education nouvelle,“ w r. 1899.

W Niemczech szkołę nowego typu założył młody pedagog niemiecki, dr. Hermann Lietz, niedaleko Elsenburga w Saksonii, a w r. 1901 jej filię niejako we wsi Haubinda, również w Saksonii, niedaleko miasta Hildburghausen, wśród lasów, nad rzeczką Krech, wpadającą do rz. Rodach.

O tej ostatniej szkole, urządzonej według typu abbotsholmskiej i prowadzonej wzorowo, chcę obszerniej pomówić.

P. Hermann Lietz jest zwolennikiem szkoły nowego typu, starającej się przystosować młodzież do życia lepiej, niż typ stary i rozwinąć ją fizycznie. Napisał on w 1897 r. książkę p. t. „Emlohstobba“ („Abbotsholme“), w której z zapałem wyraża się o dziele p. Reddina i surowo krytykuje stary typ szkoły.

Szkołę dr. Lietza we wsi Haubinda tak opisuje *Pädagogische Zeitung*:

„Haubinda jest to majątek, obejmujący około 45 włók, z których blizko 15 przypada na las. Na tej przestrzeni oprócz przeszło 100 uczniów, mieszka 16 profesorów i trochę służby, rzemieślników i personelu niezbędnego przy gospodarstwie. Od wczesnego ranka do południa trwają lekcye, przerywane pauzami 15-minutowemi lub półgodzinnemi. O ile można wszelkie nauczanie odbywa się poglądowo: nauki przyrodnicze w lesie, na polach lub nad rzeką czy stawem; języki obce drogą rozmów, nie zaś mechanicznego wykuwania słówek i gramatyki „odtąd, dotąd“; geometrya i trygonometrya na sposób i u nas dawniej praktykowanych i przez uczniów ulubionych „pomiarów,“ na których widzieć można praktyczne zastosowanie tak suchej w teoryi nauki.

Czyż trzeba dodawać, że przy takim systemie nauczania, okraszonym przyjacielskim, serdecznym stosunkiem nauczycieli do uczniów, wszelkie dodatkowe godziny „za karę,“ wszelkie „kozy“ itp. niepedagogiczne środki nauczycieli są tam zupełnie nieznane. Nie jest też znany denerwujący strach przedegzaminowy i ślęczenie po nocach w celu nabicia sobie do głowy nieprzetrawionego materyału naukowego z całego roku, ażeby go na drugi dzień po egzaminie wyrugować dla zrobienia miejsca innemu.

W miejscowej kaplicy otrzymują wychowańcy Haubindy zasady religijne, prawda, nieujęte w ramki katechizmowe, lecz tchnące żywem uczuciem dla Boga i wszystkich ludzi.

Wspólne odczytywanie arcydzieł twórczości ludzkiej, słuchanie muzyki, podziwianie pięknych dzieł malarstwa lub rzeźby — wszystko to wyzyskują prawdziwi wychowawcy dla rozwoju serc młodzieńczych.

To, o czem mówiliśmy dotychczas, możnaby prawie z tym samym skutkiem uprawiać w szkołach miejskich, lecz w planie zakładu mamy jeszcze cały szereg zajęć, które bezwarunkowo niezbędne są w wychowaniu wzorowem, ale których wykonanie możliwe jest tylko na wsi.

Całe prawie popołudnie w Haubinden poświęcone jest pracy na polu i w lesie *). Jedni kopią ziemię, drudzy grabią, inni pracują w ogrodzie owocowym lub warzywnym, a wszędzie pełno wesołego gwaru, widać opalone twarze i dobrze wyrobione mięśnie. Trzeba przytem wiedzieć, że prawie wszystkie narzędzia, jakich do tych zajęć używają uczniowie, są przez nich samych wyrabiane podczas lekcyi rzemiosł, odgrywających niepoślednią też rolę w tem wychowaniu. O wieleż przyjemniej musi być uczniowi pracować nad wykończeniem ładnych grabi, gdy wie, że sam będzie niemi grabił siano na łące zakładowej.

Nie zapomniano w tej wzorowej szkole o kształcącym wpływie wszelkiego rodzaju wycieczek. Urządzane one bywają pod kierownictwem jednego z nauczycieli lub też przez samych uczniów, pojedynczo lub małemi grupami, pieszo lub na rowerach. W ten sposób zwiedzają oni ciekawe pod różnymi względami miejscowości, ucząc się radzić sobie bez cudzej pomocy i obserwować samodzielnie.

Zwiedzili już ciekawe miasta fabryczne w Niemczech, całe prawie Alpy, wystawę paryską, Anglię, a na rok przyszły przygotowywa się wycieczka aż do Ameryki Północnej. Koszta tych wypraw są bardzo nieduże, a znaczenie ich wprost nieobliczone.

Powiedzieć naszemu uczniowi gimnazyum, zgiętemu po 5—6 godzin nad zabijającemi ducha i ciało lekcyami, w dusznej atmosferze ciasnej klasy, że mógłby oto wędrować z kolegami po górach i miastach, spać pod namiotem i nie obawiać się złego stopnia!

A teraz nasuwa się pytanie: Czy będą u nas kiedykolwiek zamiejskie szkoły, urządzone tak, jak szkoła w Haubinda? Największą trudnością w tej sprawie jest nie przeniesienie szkół za miasto, lecz urządzenie ich tam według wymagań hygieny, z polami zakładowemi, warsztatami i lasem oraz dostarczenie pedagogów z powołania odpowiadających swemu zadaniu. Dobrych nauczycieli trudno w naszych warunkach skłonić do opuszczenia miasta, gdzie praca daje im warunki korzystniejsze i byt lepiej zapewniony. Szkołę więc możnaby urządzić w pobliżu miasta. Typ idealny takiej szkoły nie uznaje tak zwanych uczniów „przychodnich,“ tu jednak na początek część przynajmniej musiałaby przyjeżdżać z miasta. Całodzienny pobyt na zdrowem powietrzu, praca na polu, w ogrodzie, w lesie i powrót do domu w mieście pod wieczór, po skończeniu wszelkich zajęć związanych ze szkołą, bez obarczenia zadanemi lekcyami, przyniosłyby niewysłowienie dobroczynne następstwa dla duchowego i fizycznego zdrowia dzieci.

Stanisław Krauz.

*) O doskonałym wpływie takich zajęć patrz: E. Demolins: „L'éducation nouvelle.“

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Zaduszki.

Corocznie w tym dniu tłumy ludzi płyną na cmentarze i wywołują z grobu kochane duchy, ażeby nietylko wypowiedzieć im swe bóle, ale usłyszeć od nich słowa pociechy. Co słyszą? Nie wiemy. Powinienby jednak do ich uszu dochodzić jedyny głos, którym umarli do żywych przemawiają:

„Przestańcie żyć dla marności, pogardźcie jej celami, porzućcie jej drogi kręte i błotniste. Ta ziemia, którą tak cenicie, jest niedostrzegalną drobiną w nieskończoności przestrzeni, to istnienie wasze, za które tak walczycie, jest niewymierną chwilą w nieskończoności czasu; nawet to, co jest śród was największem, jest dla wszechświata pyłkiem. Pomyślcie, czem jest dla niego wszystko, co małe a co stanowi główny przedmiot waszych zabiegów! Niech was przynajmniej ogarnia szlachetna duma zaznaczenia swego punktu jakąś wielkością, która może nie rozpływa się doszczętnie w bezmiernym obszarze wszechbytu. Niech was owładnie wzniosła chęć bohaterskich zapasów z jego pochłaniającym wszystko ogromem. Niech was olśni nadzieja, że wysiłkiem woli zmusicie go do zachowania mgnień waszego życia w swej bezdennej pamięci. Jeżeli dał wam małość przeznaczenia, oddajcie mu wielkość dążeń. Tu, w grobach kończy się łańcuch marnych zabiegów, pobudzeń, pragnień, tu wchłonięte w nieskończoną przestrzeń ciała a w nieskończony czas żywoty ludzkie, rozpoczynają swą wieczność; stąd też wychodzi ku wam jej przestroga."

Czy żywi to słyszą i czy wróciwszy z cmentarzów, chociaż przez jeden dzień podnoszą się ze swych nizin na głos umarłych?

Zagadkowy objaw.

Nie wiemy, czy w kalendarzu Falba dzień 31 października należał do „krytycznych"; jeżeli nie, to pośmiertna sława dowcipnego wróżbity, który tak układał swe przepowiednie, że one zawsze gdzieś jakoś spełnić się mogły, ucierpiała wielce. Dnia tego bowiem zaszedł w Europie na szerokiej przestrzeni bardzo zagadkowy objaw. Nagle, bez wiadomej przyczyny, telegraf we Francyi przestał działać i równie nagle wyszedł z odrętwienia. Toż samo podobno zdarzyło się na liniach między Warszawą a Berlinem i Petersburgiem. Od czasu istnienia telegrafu wypadku takiego nie zauważono. Tymczasowo objaśniono go „zaburzeniami magnetycznemi" i „zmianami atmosferycznemi przy zachodzie słońca," co tyle mówi, ile np. przypuszczenie, że działała tu „siła niezbadana." Zamiast takich tłomaczeń, które niczego nie tłomaczą, najlepiej powiedzieć sobie i innym, że w owem zjawisku dała znak istnienia jakaś tajemnica, której nawet nie domyślamy się, a tem mniej możemy ją przeniknąć. Jest to jedno z owych „memento," za pomocą których natura przypomina człowiekowi swoją nieznaną potęgę i jego znaną niemoc.

Bocian przeciw nauce.

Dlaczego łyżwiarze literaccy, którzy z taką zręcznością ślizgają się po gładkiej powierzchni życia powszedniego, puszczają się czasem na cienkie i przeręblami poprzerywane lody zagadnień bardzo trudnych i niebezpiecznych? Co ich do tego zmusza? Kto im każe załamywać się, wpadać w zimną wodę i narażać swoją sławę zwinnych sportsmenów? Te pytania zadajemy sobie nieraz, czytając w dziennikach nieudolne wypracowania na tematy, przerastające swą trudnością największy wysiłek geniuszów „do wszystkiego." Wiadomo, że kwestya zaznajamiania małych dzieci z prawdami drażliwej natury, które dotychczas są przywilejem ludzi dojrzałych, stanowi dla pedagogiki jeden z twardych i niezgryzionych jeszcze przez nią orzechów. Bezwzględni przeciwnicy kłamstwa potępiają je również w tym wypadku, odmawiając mu dodatnich skutków, obrońcy zaś „niewinności" radzą napychać młode dusze kłamstwem, ile tylko w nie przed dojrzeniem się zmieści. Otóż, p. E. B. w *Kuryerze Warsz.* postanowił rzucić swój miecz papierowy na szalę ostatnich, a rzucił go z taką stanowczością, jak gdyby był zupełnie przekonanym, że od daty jego wystąpienia zniknie wszelka wątpliwość o wzniosłem posłannictwie pedagogicznem „bociana." Jest przeto naszym obowiązkiem przenieść w koło czytelników *Prawdy* tak doniosłe rozwiązanie zagadki. Słuchajcie, co mędrzec mówi:

„Eh, nie szermujmy tak w obronie nagiej prawdy, my niewolnicy tysiąca fałszów konwencyonalnych, my powtarzający nieraz bezmyślnie za innymi prawdy, które nam nazajutrz każą nazwać fałszami. *Na co* mamy właściwie z tych dziecinnych oczu zdmuchnąć baśń fantastyczną, aby na jej miejsce postawić inną, *nie lepszą, czasem koszlawą i niezręczną.*" Może owe „eh" jest argumentem dostatecznie przekonywającym, zwłaszcza gdy ktoś je wykrzyknie z czapką na bakier; ale my pozwolimy sobie jeszcze zwrócić uwagę na dwie perły powyższego rozumowania: logiczną i przedmiotową. Mianowicie: 1) ponieważ jesteśmy „niewolnikami tysiąca fałszów," więc nie powinniśmy „szermować w obronie nagiej prawdy" — czyli — ponieważ oblazło nas tysiąc pcheł, więc nie powinniśmy zabijać jednej; 2) dotąd nie dowiedziono, „na co właściwie mamy z oczu dziecinnych zdmuchiwać baśń fantastyczną," szczególnie gdy zastępująca ją teorya zapładniania jest „koszlawą, niezręczną i nie lepszą," niż nauka o „bocianie."

Wogóle szan. Pestalozzi z *Kuryera* z głęboką wzgardą patrzy na tę nędzarkę, idyotkę i grzesznicę, która się nazywa nauką. „Wie on *tylko to* (a jak wiele!), że gdyby usiłowano małemu dziecku objaśnić bliżej treść jego pytania na roślinkach i ptaszkach.. dopytanoby się *takiego samego* „bociana," jakiemi są *i inne* prawdy (*np. zasady geografii fizycznej i kosmografii*), wbijane dziś w głowy 9 i 10-letnich." Co za szkoda, że my nie mamy bezpośrednich stosunków z Eskimami, Buszmenami, Apatszami, bo przekonalibyśmy się, że podobny pogląd na „zasady geografii fizycznej i kosmografii" oraz na „inne prawdy" naukowe nie jest tak mało rozpowszechnionym, jak nam się zdaje i że on sięga daleko po za granice „najpoczytniejszego pisma."

„*Zresztą*—prawi dalej mistrz—dziecię słyszy o bocianie częściej chyba z ust niańki, niż z ust matki." I to „zresztą" jest błyskawicą dostatecznie rozświetlającą ciemności wychowania. Bocian powinien się w nim utrzymać, bo on wychodzi „częściej z ust niańki," co znacznie zmniejsza jego szkodliwość pedagogiczną. Z tej samej racyi należy zachować opowiadania dzieciom o Żydach, którzy do maców używają krwi chrześciańskiej, o nietoperzach, które wkręcają się ludziom we włosy, o trupiem sadle, służącem do wykonywania czarów itd., bo o tem wszystkiem również dziecko „słyszy częściej z ust niańki, niż matki."

Z tych wszystkich twierdzeń i wywodów to jest najpewniejszem, że gdyby zimujący w Ogrodzie Saskim bocian zabrał głos w tej sprawie, nie powiedziałby nic bardziej... bocianiego. *G.*

Nasz widoczek.

Gazeta Kielecka, opisując gospodarstwa włościańskie, nagrodzone na konkursie tamtejszego Towarzystwa rolniczego, zamieszcza ciekawy obrazek głównego zwycięzcy, Jana Urbana. Jest on właścicielem 85 morgów ziemi — i tak sam opowiada o sobie: „Umiem czytać i pisać, uczyłem się sam — trochę w szkole początkowej. Czytujemy „Gazetę świąteczną" i „Zorzę," a z książek *powieści historyczne*. Mam dzieła Sienkiewicza: „Ogniem i mieczem," „Potop," „Pan Wołodyjowski" i inne. *Książek gospodarczych nie mam*, kieruję się wiadomościami z gazet, własnem doświadczeniem i praktyką."

Jakie to wymowne i prawdziwie nasze! Chłop, posiadacz dość dużego gospodarstwa ziemskiego, nie ma ani jednej książki rolniczej, a cała jego biblioteka składa się z powieści historycznych, opisujących bitwy i przygody szlacheckie i niewspominających nawet pobieżnie o istnieniu ludu wiejskiego w przeszłości. Czy jest na świecie drugi kraj, w którym znaleźlibyśmy podobny widok? A jednakże — powiecie — ten człowiek z 27 morgów otrzymanych w spadku i wianie powiększył swój majątek do 85? Znamy sposób tego powiększania: oszczędności na jadle, na odzieży, na wygodach, na kształceniu dzieci, na wszystkich potrzebach kulturalnego człowieka. Gdyby ten włościanin, zamiast studyowania dziejów Wołodyjowskiego, Kmicica i Bohuna, poznał się z ulepszoną uprawą roli, z nowymi gatunkami zbóż i warzyw, z racyonalnem żywieniem inwentarza, zyskałby sam więcej i lepszy wpływ wywarł na otoczenie, niż zbogacając swą głowę wiedzą z powieści historycznych. Jest on tylko pracowitym i zabiegliwym robigroszem, ale nie światłym gospodarzem i obywatelem.

Wywiad.

Urządziła go *Gazeta Polska* w celu zbadania, jakie w społeczeństwie a głównie wśród kobiet samych krążą zapatrywania na wyższe studya dla kobiet i otwarcie dla nich kursów uniwersyteckich w Warszawie. Poproszono dwadzieścia kilka pań przełożonych różnych zakładów naukowych o wydanie wyroku: czy młode panny chcą się uczyć? czego w nauce szukają? i jaki to ma wpływ na ich charakter i życie? Ani jedna z tych pań nie zaprzeczyła prawa kobiety do wyższego kształcenia się — w zasadzie, choć w praktyce ogromna większość obstawiła je tylu zastrzeżeniami, że w rezultacie pozostaje tylko prawo, z którego, starają się nam dowieść, że praktyczniej, rozumniej, wygodniej nie korzystać. Jedna nawet wyraziła ciekawe zdanie, że na wyjazdach do uniwersytetu „wiedza zyskuje niewiele, traci natomiast moralność". Czy na pensyach warszawskich i niewarszawskich, pod czułą opieką, moralnie nastrojonych, pań przełożonych tej moralności żadna krzywda się nie dzieje? Proszę posłuchać, o czem gawędzą najchętniej podlotki i małe dziewczynki w rozmowach szeptem prowadzonych, w czasie przerw między jedną lekcyą a drugą, jakie książki znoszą sobie i czytają pokryjomu; proszę przyjrzeć się zabawom młodzieży szkolnej obu płci, lekcyom tańca, i innym towarzyskim rozrywkom, a wówczas zrozumiemy, gdzie leży jądro sprawy. Nie wychowujmy dzieci na samiczki i samców, a nie będziemy mieli „zagrożonej moralności".

BADANIA NAUKOWE.

Nauki przyrodnicze

Eliasz Miecznikow: *Badania nad naturą ludzką— próbka filozofii optymistycznej.*

Niedoścignionych mar szalony kupcze!" Słowa te beznadziejne usłyszał w „Balladynie" od króla-pustelnika nieszczęsny Filon, marzący o losie Endymiona, śniący o białej bogini, różami wieńczonej, przypływającej z niebios błękitnych. Te słowa wciąż powtarza ludzkości, goniącej za szczęściem, przeczący optymizmowi pesymizm, uważając szczęście za marę nieuchwytną, wykazując pasmo nieprzerwane udręczeń istnienia, twierdząc, że lepiej by było wcale nie istnieć.

Optymizm i pesymizm — kierunki zasadnicze w pojmowaniu bytu rzeczywistego, ścierając się nieustannie ze sobą, stały się niewątpliwie potężną dźwignią postępu. Niezmiernie jednak jest ciekawa odpowiedź możliwie przedmiotowa na pytanie, który z tych dwu kierunków jest bliższy prawdy, który z nich jest bardziej filozoficzny?

Próbę przechylenia szali na korzyść optymizmu podjął głośny uczony, E. Miecznikow, w książce swej p. t. „Etudes sur la nature humaine, essai de philosophie optymiste," Paris, 1903. Ta próba ze wszech miar zasługuje na uznanie całkowite, gdyż autor broni optymizmu krytycznego. Optymizm niekrytyczny, z przepaską różową na oczach, utrzymuje, że wszystko jest jak najlepiej na tym najlepszym ze światów. Tym sposobem na równi z pesymizmem skrajnym, twierdzącym, że jest źle, a lepiej być nie może, prowadzi do poddania się zupełnego, do rezygnacyi. Rezygnacya zaś, chociażby pochodząca ze źródeł tak sprzecznych, jest tym potworem strasznym, który sprawia, że ludzkość staje się niby posągiem skamieniałym, nieruchomym. Zaiste, wszystko to jedno, czy oblicze tego posągu krasi wyraz nieusprawiedliwionego zadowolenia, czy też wykrzywia je rozpacz bezsilna.

Jaki jest rodowód książki Miecznikowa? Jak zgrzyt żelaza po szkle uraziło go bluźnierstwo bezmyślne, głoszące bankructwo nauki. Należało bluźnierstwu zaprzeczyć. Zaprzeczając, miał niechybnie prawo w sprawiedliwem oburzeniu sięgnąć po wężowe rózgi Eumenidy i osmagać niemi tych, co, jak Herostrat, ośmielają się targnąć na świątynię nauki. Tego atoli nie uczynił: w książce swojej ze spokojem godnym majestatu nauki wykazał tylko nicość słów bluźnierczych. Dla uczonego nauka tylko, budująca uogólnienia na podstawie postrzeżenia i doświadczenia, nad któremi czuwa pilnie krytycyzm, jest ową „boginią białą," która ustami koralowemi opowiada ludzkości, że szczęście dla niej jest dostępne w granicach, zakreślonych warunkami bytu rzeczywistego. Dowodząc, że szczęście takie nie jest czczem złudzeniem, że się daje osiągnąć, trzeba przedewszystkiem wyjaśnić, na czem ono polega. Uczony biolog mówi nam, że szczęście jestestw żyjących polega na jak najdoskonalszym zespole właściwości natury tych jestestw z warunkami, wśród których żyją. Zespół ten wytwarzają właściwości natury ustrojów, zgodne z warunkami bytu rzeczywistego, a więc korzystne dla istnienia osobnika i gatunku; niweczą go zaś właściwości sprzeczne, szkodliwe.

To uogólnienie bezwątpienia, acz sprawiedliwe, nie zaspokoi wszystkich. Nie zaspokoi zwłaszcza tych, których wyobraźnia tworzy byty urojone. Nauka jednak, obowiązana zajmować się badaniem zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych, dostępnych dla postrzeżenia i doświadczenia, nie może żadną miarą badać bytów nadprzyrodzonych, nieistniejących.

Tylko dokładna znajomość natury danego ustroju pozwala orzec, w jakiej mierze właściwości jego są zespolone z warunkami bytu, czy są dla jego istnienia korzystne. Dlatego tak olbrzymią doniosłość ma naukowe badanie natury jestestw ustrojowych w ogólności, człowieka w szczególności. Właśnie na drodze takich badań odnajduje Miecznikow swoje ostateczne uogólnienia.

Przystosowanie się jest jedną z właściwości zasadniczych, wspólnych wszystkim ustrojom. Sprawia ono, że natura tych ustrojów przeobraża się odpowiednio do warunków bytu, zmieniających się w granicach pewnych. Niezawsze jednak dzieje się to w stopniu jednakowym, dlatego też jedne ustroje są lepiej przystosowane do warunków bytu, lepiej usposobione do walki o ten byt, inne znów gorzej.

Spotykamy więc w przyrodzie ustroje szczęśliwe: w naturze ich uderza przewaga właściwości, sprzyjających istnieniu osobnika i gatunku. Stało się to nawet powodem upatrywania w tem zjawisku działania sił celowych — świadomych. Te ustroje uprzywilejowane, gdyby posiadały zdolność pojmowania, stanęłyby niezawodnie pod znakiem optymizmu. Lecz, obok ustrojów szczęśliwych, znajdują się w przyrodzie ustroje upośledzone — nieszczęśliwe. W naturze ich uwydatniają się nadewszystko właściwości szkodliwe, niekiedy zgoła zgubne dla osobnika i gatunku. Świadczy o tem wyginięcie doszczętne niektórych, jeszcze na długo przed ukazaniem się na ziemi człowieka. Te gatunki, stojące nawet na dość wysokim szczeblu rozwoju, nie mogły się przystosować do zmienionych warunków bytu i wymarły.

Najjaskrawszego przykładu właściwości zgubnych dostarczają nam te owady nocne, które pod wpływem instynktu przewrotnego zlatują się dokoła płomienia i stają się jego pastwą.

Wszystkie tak upośledzone ustroje mogłyby niewątpliwie powiększyć szeregi pesymistów?

Gdzież wypadnie oznaczyć miejsce naturze ludzkiej? O tę naturę toczy się spór odwieczny. Gdy jedni miotają na nią gromy przekleństwa, dla innych jest ona tak doskonała, że wystarcza nawet zupełnie dla odnalezienia wskazówek życia. Wielbiciele natury ludzkiej zamknęli twierdzenie swoje w zdaniu: „Wszystko, co jest zgodne z naturą ludzką, jest dobre."

Całkiem nieprzychylnie brzmi wyrok prawomocny, wydany w tym sporze przez naukę. Badania wykrywają w naturze ludzkiej tyle sprzeczności, niedoskonałości i właściwości szkodliwych dla istnienia rodu ludzkiego, że miejsce jej należałoby się słuszniej w rzędzie jestestw upośledzonych, nieszczęśliwych. Miecznikow też, choć w książce swej spieszy na odsiecz optymizmowi krytycznemu, wypracował jednak bardzo skrzętnie akt oskarżenia przeciw naturze ludzkiej, nie pomijając w nim właściwości najdrobniejszych, naruszających zespół pożądany z warunkami bytu; zaiste, skrzętniej nie uczyniłby tego nawet rzecznik pesymizmu! Już od dawna występowała nauka z krytyką natury ludzkiej: wykazała wadliwość w budowie narządów zmysłów, np. oka, których następstwem jest niedostateczność, niedokładność poznania ludzkiego; zwróciła uwagę na obecność w ustroju ludzkim t. zw. narządów szczątkowych, zbytecznych, a niekiedy nawet szkodliwych z różnych względów. Nie jest przeto autor badań nad naturą ludzką Kolumbem, odkrywającym nam świat nieznany sprzeczności, tkwiących w tej naturze. Rozszerzając jednak znakomicie zakres pojęć naszych, buduje coś, co śmiało nazwaćby można filozofią fizyologii.

Narządy trawienia i narządy płciowe tworzą dwa układy, przeznaczone do przyswajania pokarmów i do rozmnażania się, a więc najistotniejsze dla zachowania osobnika i gatunku. W tych dwóch właśnie układach spotykają się często narządy szczątkowe, niespełniające żadnej czynności fizyologicznej, dalej narządy, znajdujące się w okresie przemiany wstecznej, spełniające funkcye fizyologiczne bardzo podrzędne. Bez narządów tego rodzaju ustrój ludzki mógłby się obywać najzupełniej. Szkodliwość jednakże, wynikająca z ich obecności w ustroju, polega nie na tem, że są bezużyteczne, lecz że stają się źródłem spraw patologicznych, zagrażających bardzo często życiu ludzkiemu, częściej daleko, niż te narządy, które są niezbędne do spełniania czynności fizyologicznych.

W układzie trawienia istnieje narząd szczątkowy, zgoła niepotrzebny. Jest nim tak zwany wyrostek robaczkowy kiszki ślepej, którego zapalenie częste śmierć sprowadzić może. Kiszka znów ślepa, znajdująca się u człowieka w okresie przemiany wstecznej, i cała wogóle kiszka gruba, która w trawieniu odgrywa rolę bardzo podrzędną, o wiele częściej podlegają różnym chorobom niebezpiecznym, niż kiszka cienka, która fizyologicznie jest najważniejsza dla czynności trawienia.

W układzie przeznaczonym do zachowania gatunku powtarza się to samo. I tu narządy szczątkowe są pozostałością szkodliwą, nieraz zgubną dla ustroju ludzkiego. Właściwości szkodliwe, wymienione dotąd, są niewątpliwie źródłem dolegliwości bardzo poważnych, ciągle zagrażających człowiekowi. Bledną one przecież wobec braku lub zwyrodnienia różnych instynktów, związanych ściśle z istnieniem rodu ludzkiego. Brak instynktu, kierującego wyborem pokarmów, często zwyrodnienia instynktu płciowego, niedostateczne rozwinięcie instynktu rodzinnego, znajdujący się zaledwie w stanie zarodkowym instynkt społeczny, potęgują niesłychanie doniosłość sprzeczności natury ludzkiej z warunkami bytu.

Nadomiar złego instynkt samozachowawczy, pożyteczny i doskonale rozwinięty u człowieka, staje się źródłem najstraszniejszej sprzeczności, wobec świadomości o śmierci nieuniknionej i trwogi przed nią, wypływającej z tej świadomości. Tym sposobem brak instynku, któryby można nazwać instynktem śmierci, równoważącego nienasycony instynkt życia, a zjawiającego się w czasie właściwym, powiększa przerażająco miarę udręczeń, spowodowanych przez wszystkie inne sprzeczności natury ludzkiej.

Wykrywając te sprzeczności, nauka musiała się spotkać z pytaniem: „od czego one zależą?" Odpowiedź przyniosła teorya rozwoju, odsłaniająca nam powstawanie gatunków i pochodzenie człowieka. Nieustannie przybywają nowe postrzeżenia, stwierdzające bliskie pokrewieństwo człowieka z ustrojami zajmującymi najwyższe szczeble na drabinie rozwoju. Zgodnie z poglądami najnowszymi, Miecznikow przypuszcza, że powstanie człowieka nie wymagało długich okresów czasu, nie odbywało się stopniowo.

Choć odskok był gwałtowny, choć zdolności niezwykłe pozwoliły człowiekowi zająć miejsce naczelne wśród innych ustrojów, nie mógł on jednak odrodzić się zupełnie. W tem pochodzeniu tkwi właśnie źródło sprzeczności, istniejących w naturze ludzkiej. (D. n.).

A. Z.

LITERATURA I SZTUKA.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Tadeusz Konczyński: *Błędne ognie*, komedya w 4 aktach. — Stanisław Brzozowski: *Mocarz*, sztuka w 3 aktach. — Wznowienie *Zemsty za mur graniczny* i *Pana Beneta*.

Po ospałym i bezbarwnym okresie letnim, gdy, po za „Nocą lipcową“ p. Gorczyńskiego, braki repertuaru, pozbawionego świadomej swych celów kierowniczej ręki artystycznej, wypełniały przeważnie monologi p. Fiszera, a po nich — „Dług honorowy“ p. Przybylskiego, na scenie teatru Rozmaitości zapanowało znów pewne ożywienie. Rozpocząwszy sezon jesienny wznowieniem fredrowskiej „Zemsty za mur graniczny,“ dano nam w krótkich odstępach czasu dwie sztuki oryginalne autorów młodych, a zapowiedziano cały szereg nowości swoich i obcych.

Na samym wstępie, niestety, spotkaliśmy się z niepowodzeniem. Czteroaktowa komedya p. T. Konczyńskiego p. t. „Błędne ognie“ upadła po kilku przedstawieniach, dając powód do złowieszczo-tryumfalnych wykrzyknień i wróżb kasandrowych dla dalszej twórczości autora „Otchłani“ tym samym mocarzom kuryerkowym, którzy mają zawsze słowa wyrozumiałości i usprawiedliwienia, czasem nawet podziwu i uznania — dla najnędzniejszych bodaj wyrobów przemysłu pseudo-artystycznego, o ile tylko ich „twórcy“ postarali się zawczasu ostemplować płody swego ducha wszechpotężnym znaczkiem: „warszawska klika adoracyi wzajemnej.“ A w rzeczywistości to tylko powiedzieć dziś można, że „Błędne ognie“ nie udały się, istotnie, p. Konczyńskiemu i nie stoją na poziomie poprzednich jego dzieł scenicznych, co zresztą nie znaczy wcale, by sztuka ta nie posiadała i tak większej w gruncie rzeczy wartości od niejednej z tych, jakie u nas chwalono i wynoszono.

Autor „Otchłani“ i „Kajetana Oruga,“ pracując nad swem dziełem najnowszem, zdawał się nie pamiętać o jednej elementarnej zasadzie: najpierwszym warunkiem powodzenia utworów, przeznaczonych dla teatru, jest mniej lub więcej zajmująca i przejrzysta bajka, której nawet pewien, łatwo uchwytny „sens moralny“ zwykle nie wadzi. Sama analiza psychologiczna wyjątkowo tylko zastąpić ją może. Na scenie powinno się coś *dziać*. Walka, ścieranie się wzajemne dążeń, uczuć, charakterów—wytwarza tam dopiero pożądany ruch i atmosferę właściwą, budząc w widzach zajęcie żywsze. W „Błędnych ogniach“ mamy kilka dobrych sylwetek (dr. Podoba, Sieradzki, Dusowicz, Wiktorya); jest dyalog żywy, oryginalny, najeżony zresztą przesadną paradoksalnością i niezawsze zastosowany do środowiska, w którem rzecz się odbywa. Jest — dalej — głęboko dosyć sięgające w życie zacięcie satyryczne, jest wogóle wcale dobre tło, lecz to, co na niem namalować należało, nieuchwytnie z rąk się wymyka. Na podobnem tle Sudermann stworzył swój „Koniec Sodomy,“ ale umiał zająć widza samą treścią dzieła, dał mu czyny, kolizyę uczuć, walkę charakterów. Tego wszystkiego niema w „Błędnych ogniach.“ Są tylko słowa, słowa i słowa, niczem nieusprawiedliwione i bezcelowe rozprawy, których w pierwszym akcie słuchamy z pewnem zajęciem, a w dalszych ze wzrastającem aż do końca znużeniem.

Niedość na tem. Dzieło sceniczne nie powinno być dla widza zagadką, nie powinno razić chaotycznością. Tymczasem w „Błędnych ogniach“ do końca domyśleć się nie możemy, co właściwie chce nam autor powiedzieć, w jakim celu co chwila wprowadza i wyprowadza coraz to nowe postaci, w jakim celu zwłaszcza rozdziela, to znów łączy państwa Rawickich, którym upodobania, dążenia, charaktery zbliżyć się na dobre nigdy nie pozwolą, choć zakończenie usiłuje zaprowadzić w tem stadle harmonię trwałą. Naprożno! Chyba, że w dosyć mętnej i słabej wogóle duszy Stefana *domyślać się* mamy jakichś głębszych podkładów, które nam należało *pokazać*. Autor miał przed sobą i przeczuwał, zdaje się, wdzięczne zadanie odtworzenia niedoli ludzi, niedobranych do pożycia wspólnego, choć może kochających się wzajemnie, i dla tych czy innych względów niemogących skruszyć więzów, które ich duszą na każdym kroku. Ale przeładowanie sztuki epizodami, może przytem uboczne cele satyryczne (wykazanie nicości dążeń życiowych pewnej sfery zwierząt ludzkich, którym zaspokojone potrzeby fizyczne odbierają wszelką wrażliwość na głębsze strony życia) odwróciły wzrok jego od tej sprawy, wprowadzając do sztuki zamieszanie i bezład.

A jednak oddać trzeba sprawiedliwość artystom naszym, że grali w „Błędnych ogniach“ znakomicie, tworząc całość, którą, mimo wady i braki sztuki samej, zobaczyć było warto. Pomijam już nawet dwie główne role źle dobranego małżeństwa, w które pp. Żelazowski i Marcello włożyli tyle talentu i pracy. Ale taki Frenkiel w roli sparaliżowanego doktora, taki Śliwicki, jako literat-dekadent, taki zwłaszcza Leszczyński, jako przeżyty i doświadczony zdobywca serc, a raczej pięknych ciał kobiecych—dali poprostu w swym zakresie arcydzieła intuicyi twórczej, prawdy i plastyki, aby po wieczorach paru o tak opracowanych rolach z konieczności zapomnieć czemprędzej.

Sądząc z gorącego przyjęcia, jakiego na dwóch pierwszych przedstawieniach doznał ze strony publiczności „Mocarz“ p. St. Brzozowskiego, sztuce tej nie grozi tak prędkie zejście z afisza. Jest ona do pewnego stopnia antytezą „Błędnych ogni“ i od pierwszej sceny przykuwa uwagę widza zawiązującą się walką między przywódcami dwóch obozów społecznych na tle wyborów w Galicyi. Na czele postępowców stoi redaktor „Przyszłości,“ Antoni Walczak (p. Żelazowski), odważny, energiczny, bezwzględny, a przytem hypnotyzujący poprostu oddanych mu ślepo młodych towarzyszów broni. Przedstawicielem zachowawców jest ostrożny, poważny, uczciwy redaktor „Ogniska domowego,“ Kazimierz Mirski (p. Ładnowski), budzący szacunek prawością swą i niezłomnością nawet w obozie przeciwnym.

Wyborne zadzierzgnięcie węzła dramatycznego (artykuł Mirskiego, demaskujący w przededniu wyborów Walczaka, jako szalbierza i złodzieja grosza publicznego, i energiczne odparcie tej kłamliwej z pozoru napaści przez redaktora „Przyszłości“ w scenie z tłumem, wyjącym pod jego oknami), w połączeniu z pełnemi siły dalszemi scenami pierwszego aktu, dobrze usposabiają widza i pozwalają mu spodziewać się, że nareszcie mamy do czynienia z utworem dramatycznym, jasnym i logicznym w założeniu, a silnym w wykonaniu, gdzie akcya potoczy się gościńcem prostym, bez zboczeń, wybiegów, sofizmatów, do rozwiązania, wypływającego w sposób naturalny z samej osnowy utworu i ścierających się w nim charakterów. Dalsze dwa akty, niestety, przynoszą rozczarowanie i zawód.

Akt drugi jest zły zupełnie. Nie akt to właściwie, lecz jedna przeciągająca się w nieskończoność, nieurozmaicona niczem, nużąca i drażniąca scena oczekiwania na cios, mający spaść ze strony Walczaka na głowę starego Mirskiego. Redaktor „Przyszłości“ jest graczem wytrawnym i w chwili stanowczej nie cofnie się przed żadnym środkiem. Napadnięto go zresztą, więc zarówno w interesie własnym, jak w sprawie swojego stronnictwa, musi odparować skutecznie cios, który weń wymierzono. Dla zupełnego tryumfu potrzebny mu jest współudział Jerzego Mirskiego (p. Śliwicki), więc tak rzecz poprowadzi, że ubóstwiający go syn redaktora „Ogniska“ położy swój podpis pod odpowiedzią „Przyszłości,“ miażdżącą własnego jego ojca, z którym wcześniej jeszcze rozszedł się był Jerzy z powodu swych radykalnych przekonań. To wszystko wiemy już z aktu pierwszego. Drugi, obok dziwnej trochę u publicysty i szermierza prądów nowych przesady w ocenie właściwego znaczenia papierowych gromów, miotanych w zapasach polemicznych, przynosi szereg niezręczności. Jedną z pierwszych jest to połowiczne (dlaczego?) ostrzeżenie rodziny Mirskich przez życzliwego im Piszczela; dalej idą bezradne usiłowania pani Mirskiej ukrycia prawdy przed mężem, tem bardziej nużące, że bezcelowość ich widz odgaduje odrazu; a wreszcie to nieusprawiedliwione niczem puszczenie nieszczęśliwego ojca na ulicę, gdzie, naturalnie, nabędzie on odrazu ukrywany numer „Przyszłości“ i, jak chce autor, zostanie przez artykuł z podpisem syna zabity.

Ta katastrofa ojca pociąga za sobą otrucie się Jerzego w akcie trzecim, przechylającym się dosyć wyraźnie ku melodramatowi. Charakter bohatera głównego ulega tu przytem wypaczeniu, przeistacza się zbyt nagle; czyny jego nie odpowiadają temu, co zdawał się zapowiadać akt pierwszy. W przystępie rozpaczy po śmierci Jerzego (w akcie pierwszym w stosunku „mocarza“ z młodym entuzyastą widzieliśmy tylko zimne wyrachowanie, nic więcej), traci on niemal świadomość swych czynów; wyznaje wobec współpracowników, że stary Mirski napisał prawdę, którą on w swej odpowiedzi fatalnej zdołał jednak przenicować i wykręcić. Z bohatera, mocarza, obrońcy ludu, szermierza prawdy i postępu, gotowego poświęcić wszystko dla tych haseł szczytnych, został nam tylko zwyczajny frazeolog i karyerowicz a nawet zbrodniarz pospolity, któremu pod wrażeniem dwóch trupów zabrakło poprostu sił do wytrwania w roli do końca. Opuszczony przez wszystkich, odrzuca nawoływania tajemniczej, egzotycznej Hildy West (symbol, zdaje się, czy uosobienie pewnej strony własnej jego duszy), parodyującej wobec niego (ustami pani Siemaszkowej, przybranej w szatę czerwoną) hasła nietzscheańskie i pociągającej go namiętnie w daleki, nieznany świat, gdzie czekać go ma w dalszym ciągu rozkoszne poczucie swej siły i wszechwładne panowanie nad duszami, których tyle jeszcze „tęskni za jarzmem i panem.“. Ale we własnej duszy „mocarza“ coś tymczasem pękło bezpowrotnie. Przestaje wierzyć, że wszystko, co się stało, jest pięknem i dobrem, dlatego tylko, że on to zrobił, słania się i pada u stóp księdza (!), niosącego mu słowa przebaczenia i miłości, przygłuszone przez szatański śmiech Hildy.

To zakończenie, istotnie, było dla mnie niespodzianką zupełną. Jeśli tu również mamy do czynienia z symbolem, to wyznać trzeba, że został on wybrany niefortunnie, jest zbyt brutalny i gadatliwy, zbyt płaski w swej całej wielomówności. Razić on musi tych wszystkich, którzy przywykli do myśli, że czyny takie, jak Walczaka, pociągać muszą, prócz żalu, zadosyćuczynienie jakieś względem pokrzywdzonego w swych jednostkach ogółu, poczem dopiero iść może ukojenie i przebaczenie, ale płynące *z wewnątrz*, z poczucia względnego

przynajmniej naprawienia krzywd wyrządzonych, nie zaś, jak w sztuce p. Brzozowskiego, z zewnątrz, mocą zasług i cierpień cudzych...

Ról popisowych, prócz głównej, z którą walczył zwycięzko p. Żelazowski, niema właściwie w „Mocarzu.“ Dramat ten odegrano dobrze, a wystawiono starannie, sądzimy jednak, że sam autor, entuzyastyczny i utalentowany teoretyk-obrońca prądów nowych w sztuce, przestanie z czasem uważać ten owoc wycieczki pierwszej w dziedzinę twórczą za dzieło poważniejszej wartości i zdobędzie się wkrótce i na tem polu na rzeczy dojrzalsze, lepiej obmyślane i wykończone.

W przerwach między jedną nowością a drugą wystawiła reżyserya „Pana Beneta“ oraz nieśmiertelną „Zemstę“ starego Fredry. Należałoby właściwie zorganizować przynajmniej raz na tydzień stałe wznowienia sztuk dawnych i przypominać systematycznie repertuar Fredrów, Korzeniowskich, Narzymskich, nie mówiąc już o Shakespearze i Słowackim, zaniedbanymi u nas tak bardzo. Jest to jedno z życzeń, powtarzanych stale przez prasę i, niestety, stale nieuwzględnianych. Warto chociaż tymczasem zobaczyć na scenie wybornego cześnika - Frenkla i znakomitego rejenta - Rapackiego; a i pan Benet - Wojdałowicz stworzył typ dobry zupełnie i dowiódł w nim, że potrafi wznieść się do wyżyn fredrowskich.

Wł. Bukowiński.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Adam Pług (Antoni Pietkiewicz).

Zamknął się żywot dziwny a bardzo pouczający. Pług nie był w zwykłem znaczeniu ani rozległym umysłem, ani oryginalnym talentem, ani wybitnym działaczem. Nawet jego najlepszych powieści i poematów („Duch i krew,“ „Oficyal... i,“ „Bakałarze,“ „Sroczka“) może dziś już nikt nie czyta, jego filozofia mieściła się całkowicie w pacierzu, a jego socyologia starej tradycyi, jego artykuły przyjmowano tak, jak na pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony“ — odpowiada się: „Na wieki wieków“ lub uchyleniem czapki. Nie miał on nawet w przeszłości swojej ani jednej chwili mocnego rozmachu i olśniewającego blasku, nie posuwał się rozpędem nabytego kiedyś ruchu, nie utrzymywał się emeryturą dawnej sławy. Zawsze był skromnym i skromnie szacowanym. Mimo to był to człowiek dużej miary i głębokiego wpływu, jako doskonały filtr, nieprzepuszczający złych mętów i zarazków w prądach, które przez jego duszę przechodziły. Ponieważ czystość moralna jest najrzadszym przymiotem człowieczym, więc w ocenie ludzi publicznych tak przywykliśmy ją pomijać, że przestała być uważana za główny pierwiastek ich wartości. Dopiero gdy ona ukaże się wyraźnie w jakimś wyjątkowym charakterze, przekonywamy się, że w świetle zasługi publicznej stanowi piękny, inne potęgujący promień. Przez nią umysł się rozszerza, talent nabiera oryginalności, a działanie wagi. Gdyby Pług był pospolitą mieszaniną ludzką dobrego i złego, społeczeństwo nie widziałoby w jego utworach artystycznych i czynach obywatelskich żadnej szczególnej mocy ducha, a w jego zgonie dotkliwej straty. Ale ponieważ był bardzo czystym i dobrym, przeto jego prosty lemiesz pokrył się złotą blachą, która nie rdzewiała i na przeoranych skibach pozostawiła świecące łuszczki szlachetnego kruszcu. On przekonał, że ta czystość, którą wyłączamy z dostojeństw ludzi publicznych i spychamy do niższego rzędu cnót, zdobiących bezimienne i żadnym innym tytułem chwały nieodznaczone dusze, jest ogromną mocą przewodników narodu. On wykazał, że owa czystość jest jedyną godnością, która im zdobywa szacunek wszechstronny, różnicami przekonań niezatamowany. Gdy przed 30 laty gromadka bojowników postępu dała hasło do walki w prasie naszej, pierwszymi strzałami ugodziła Pługa. Głęboko zraniony odpowiedział pod adresem jednego z nich psalmem żalu, który był jak gdyby strugą łez gorących, serdecznym płaczem — nie nad swoją krzywdą, ale nad zniewagą bóstw, które czcił. Odtąd nigdy nie potępiał i nie przeklinał przeciwników. Szedł przez burzę z pochyloną smutkiem głową i z głęboką w piersi wiarą, że uragan prędko i bez śladu przeleci. Nie doczekał się tego, ale doczekał chwili lepszej od zmartwychwstania niezdolnych do życia prochów, w której doń z nieprzyjacielskiego obozu zawołano: „Zwyciężyłeś nas galilejczyku swoją dobrocią!“ I rzeczywiście pogromcy Pługa z przed 30 laty zostali jego szczerymi przyjaciołmi.

Czas go wreszcie z pola odwołał. Zmęczony długą pracą starzec legł na wieczny odpoczynek w swojej ukochanej ziemi, pożegnany serdecznie przez pozostałych przy życiu, którym na pamiątkę włożył do skarbca literatury niezmącony i niezrysowany kryształ swej czystej duszy. A takich kryształów nie należy lekceważyć, bo w owym skarbcu, jak i w pokładach życia, jest ich najmniej.

Teodor Mommsen.

Niewątpliwie był to uczony wielki i niewątpliwie był to człowiek mały. Łącznie z Niehburem otworzył on dla badań nad dziejami Rzymu starożytnego nową epokę i dziś nikt, zajmujący się tym przedmiotem, żaden dyletant i żaden badacz zawodowy nie może obejść się bez *Historyi rzymskiej* Mommsena. Do tego dzieła (przełożonego również na język polski) przygotował się on naprzód badaniami specyalnemi, zwłaszcza nad monetą, prawem i archeologią, w których połamał śmiałą ręką oddawna wyznawane pewniki, dokonał przewrotu w poglądach, wystąpił jako burzyciel starego gmachu wiedzy i dostarczyciel materyału do nowego. Wzniósł go też następnie w czterotomowej pracy, która zbudziła słuszny podziw i szerokie uznanie. Odrzucił on w niej i do legendowego śpichrza złożył całą Liviuszowską tkaninę baśni, okrywających królewski okres dziejów rzymskich, a chociaż może zlekceważył ją zbyt bezwzględnie i nie starał się w jej oponach odszukać ukrytej prawdy, wprowadził historyę na grunt mocny, po którym ona stąpać mogła pewnym krokiem. Wykazał przytem tak zdumiewającą wiedzę, tak zupełne opanowanie całego pola poszukiwań, taką samodzielność sądów i krytycyzmu w ocenie źródeł, że nikt obok niego z równą siłą i zasługą nie stanął.

Kto zna *Historyę rzymską* Mommsena, ten zrozumie go jako myśliciela i działacza publicznego. Wyszedł on z tych studyów oślepiony promieniami tego rodzaju wielkości, jaką przedstawiał Rzym starożytny, tj. państwo z ogromną rozprężliwością zaborczą, z ogromnem uzdolnieniem politycznem, z ogromnem męztwem wojskowem i talentem organizatorskim. Była to wielka hodowla charakterów żelaznych, cnót surowych, energij druzgoczących, serc kamiennych, była to szkoła sił, tworzących potężne mocarstwo. Uczucie i wszystkie jego gałęzie w życiu, literaturze i sztuce, rosło tam karłowato pod wysokimi murami militaryzmu, które mu zasłaniały słońce i dusiły jego rozrost. Tam stała wielka maszyna państwowa, która wyrabiała władzę, której koła obracały się z doskonałą prawidłowością i w której trybach sterczały złamane kości ofiar, nie powstrzymując ani na chwilę jej biegu. Tam Mommsen znalazł ideały dla swego rozumu i serca. Przedewszystkiem mają dla niego wartość tylko jednostki ludzkie, robiące historyę i roznoszące kulturę. Wszystko co po za nimi, cała bezimienna szara masa, to albo tłum obowiązany służyć kornie bohaterom, albo „tłuszcza,“ która niegodna jest bliższej uwagi i którą on hurtownie wrzuca do wspólnego grobu historyi. Chociaż twierdzi, że „tylko żyjący ma prawo“ i powtarza przysłowie łacińskie, że „więcej wart żywy robotnik, niż umarły Achilles,“ stosuje tę zasadę do wybrańców losu, do istot i rzesz przodujących. W wykładzie zachowuje ciągle podział narodów na „primäre“ i „secundäre.“ Otóż te „drugorzędne“ ludy mają w swem przeznaczeniu tylko posłannictwo utuczenia „pierwszorzędnych,“ jakimi byli w starożytności Rzymianie, a teraz Germanie. Zarówno ci, jak tamci, posiadają zdolność tworzenia „państwa prawnego,“ wcielania i przetrawiania żywiołów obcych i roznoszenia „kultury.“ Z tej wiary wypadł głośny grom Mommsena na Czechów podczas ich walki z Niemcami, stąd sypał się grad jego obelg na Słowian, mających dostarczyć żeru Teutonom, stąd jego umizgi do Anglików, których uważa za braci. W tym znakomitym badaczu siedziała zimna dusza doktrynera, w tym zahypnotyzowanym rzymską wielkością historyku tkwił skostniały schematyzm kulturträgera, w tym omdlewającym z zachwytu czcicielu Cezara pokutował szatan drwiący ze zwyciężonych a przyklaskujący zwycięzcom. W całych dziejach Rzymu, tak obficie napełnionych gwałtem i okrucieństwem, tak przesiąkłych krwią i łzami, nie dosłyszał on ani jednego jęku, ani jednej skargi, ani jednego krzyku, któryby zasługiwał na jego współczucie. Przeszedł przez nie jak nadworny sługa bohaterów, widzący tylko i obowiązany spisywać ich wielkie czyny. Takim był również w życiu społecznem. Biada tym, co nie robią historyi i nie roznoszą kultury. To znaczyło, według niego: *nur der Lebende hat Recht.*

G.

POEZYE

W LESIE.

I.

Jeszcze po deszczu krople drżały na igliwie,
Gdy na bujne mchy słońca padły jasne plamy,
Niepewne, jak spojrzenia, któremi witamy
Wędrowca, ważąc w myśli, czy wraca szczęśliwie...

Jeszcze wierzchołki sosen po wiatru przepływie
Chwiały się, jak ślad wrażeń, gdy ich szturm przetrwamy,
Aż zwolna wnętrza boru zawarły się bramy —
Przyroda jęła rządy jawić niecierpliwie...

Dźwignęły się paprocie ciężarne dżdżem, lśniące,
Stokrotki i sasanki otwarły kielichy—
Biła z gąszczów cienistych woń ostra, zgęszczona...

Tak przy życia warsztacie tłum zwarty i cichy,
Prężąc wklęsłe swe piersi, tułowia i łona,
Wydycha z ciał woń potu, oddechy gorące...

II.

Sędziwy, mroczny bór, konarów skrzypiąc jękiem,
Z wichurą wieczny bój na śmierć i życie stacza,
Nadstawia mężnie pierś, odpiera gwałt siepacza,
Jak klątwą, za nim w ślad igliwia siejąc pękiem...

A tuż u jego stóp, na łożu próchnic miękiem,
Przestrzenie nowych puszcz, jak złoto lśnią bogacza —
Szypułki rude mchów, po których w głąb się stacza
Perlistych przepych ros z przelewnym piękna wdziękiem...

I drzemie tajg tych głąb w spokoju, w mroku, w ciszy,
Bezpieczna, bo ją bór od wichrów wkrąg osłania —
I tylko wycie, szum stłumiony zdala słyszy...

Ach! jakżeż często tłum nieczuły, bierny, głuchy,
Zapada w twardy sen długiego w złudach trwania,
Gdy zań, wśród czynu sfer, olbrzymie walczą duchy...

III.

Widziałem starych dębów-olbrzymów rodzinę,
Ich rozrosłą, wspaniałą, sędziwą postawę —
Słońce blaski na czoła ich zlewało krwawe,
Gdy u stóp ich mrok nocny napełniał równinę...

Widziałem niebotycznych skał wierzchołki sine,
Niby sen fantastyczny zamieniony w jawę —
Wznosiły się ujęte w chmur dymną oprawę,
Bajeczne potwornością, ogromem jedyne!..

Dęby rosły i skały piętrzyły się strome —
Nieme świadki tragicznych kataklizmów globu,
Tytanicznej przeszłości własnej nieświadome...

I ludzkość, w błędne bytu pochwycona koła,
Odwieczne skarby ducha zanosi do grobu —
O istnieniu ich w duszy nie wiedząc nic zgoła...

Wiktor Dzierżanowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

Protekcyonizm w swej nowej postaci.

—✦—

Panta rei, powiedział stary Grek, a do niczego nie da się ta formuła lepiej zastosować, jak do polityki ekonomicznej. Będąc odzwierciadleniem interesów materyalnych danej warstwy ludności, zmienia się ona stosownie do rozwoju i przekształcania się tych interesów. Jak niedawno jeszcze powszechnem zjawiskiem był w Europie antagonizm między przemysłowcami a rolnikami, ile to atramentu wylali w swoim czasie najemnicy dziennikarscy fabrykantów Manchesteru i Liverpoolu, ile tam nosów zostało rozbitych na zgromadzeniach publicznych dla przekonania publiczności angielskiej, że cła zbożowe są szkodliwe! A na kontynencie czyż nie dochodziło do tego, że feudali pruscy i austryaccy kokietowali z najbarbardziej postępowymi prądami wśród ludności robotniczej, byle pozyskać choćby tylko chwilowego i niezupełnie pewnego sojusznika w walce z liberalnymi przedstawicielami przemysłu. A dziś, *qualis mutatio rerum!* We Francyi dość było kilkomiesięcznej agitacyi pana Meline, w Niemczech — jednego hasła, rzuconego jeszcze przez Bismarka, by wytworzyć silną i, aż do zmiany warunków ekonomicznych, trwałą koalicyą agraryuszów i przemysłowców. Jedynym krajem, gdzie złączone stronnictwo producentów fabrycznych i rolnych znajduje się dopiero w stadyum powstawania, jest Anglia; wszędzie zresztą owa unia stała się już faktem dokonanym.

Formą, w którą wlało się to braterstwo, krzykiem bojowym, wychodzącym z piersi bankrutujących szlagonów i pewnych siebie potentatów przemysłowych, jest protekcyonizm. Przy tem dziwne na pozór zjawisko: podczas gdy dawniej ceł ochronnych domagały się te gałęzie przemysłu, które poczynały się dopiero rozwijać i cierpiały najbardziej od konkurencyi zagranicznej, gdy wielka produkcya hołdowała zasadom wolnego handlu lub zachowywała się obojętnie względem kwestyi, dziś największy krzyk podnoszą ci fabrykanci, którzy najlepiej stoją, a stosunkowo najdalej posunęły się w protekcyonizmie kraje najbardziej przemysłowo rozwinięte — Stany Zjednoczone, Niemcy i Francya. Wyjątek jedyny, jak już powiedzieliśmy, stanowi Anglia, ale i tam żądanie ceł ochronnych coraz potężniej się wznosi.

Żeby wyjaśnić to zjawisko, trzeba nietylko uprzytomnić sobie zmiany, jakie zaszły w stosunkach ekonomicznych Europy Zachodniej i Ameryki, ale i zerwać z wszystkimi dawniejszymi poglądami na znaczenie wolnego handlu i protekcyonizmu. Zarówno wolnohandlowcy, jak protekcyoniści starego autoramentu powoływali się na wolną konkurencyę, jako panaceum, mające zabliźnić wszystkie rany, które ich system mógłby zadać narodowi. Pierwsi utrzymywali bowiem, że przy rozpętaniu wytwórczości z wszystkich więzów, które ją krępowały, każdy kraj będzie produkował to, do czego natura najlepiej go uposobiła, na czem cała ludzkość zyska, otrzymując zewsząd produkty najtańsze i najlepsze; drudzy tem odpierali zarzut mogącego nastąpić wskutek protekcyonizmu podwyższenia cen, że z rozwojem produkcyi narodowej konkurencya między wytwórcami doprowadzi do stanienia wytworów, a cła staną się wkrótce zbyteczne. Tymczasem dziś wolna konkurencya należy do zamierzchłej przeszłości, żyjemy bowiem w epoce kartelów i trustów, i ta to właśnie najsilniejsza, najbardziej skartelowana produkcya najhałaśliwiej domaga się ceł ochronnych.

Podczas gdy dawniej, przy panowaniu konkurencyi między wytwórcami, ceny produktów, nawet w kraju ochronionym cłami od dowozu z zewnątrz, musiały spadać, gdy produkcya wewnętrzna wystarczała na zaspokojenie potrzeb krajowych i fabrykanci zmuszeni byli albo wywozić towary na rynek międzynarodowy, gdzie ceny były znacznie niższe, lub ograniczać produkcyę i tracić wszystkie korzyści, które wynikają z jej powiększenia, — to dziś dzięki istnieniu kartelów, stało się możliwem ciągłe podnoszenie cen. Ta bowiem gałęź produkcyi, która przynajmniej w swej większości, potrafiła zjednoczyć się w formie kartelu, nie spotyka faktycznie wewnątrz kraju żadnych współzawodników i może podnosić ceny swych wyrobów do niebywałej wysokości, nie dbając nawet o to, że się przez to zbyt zmniejszy, a zatem i produkcya, gdyż straty, hojnie zostaną jej wynagrodzone przez wzrost zysku na każdym sprzedanym przedmiocie.

Ale takie forsowne podnoszenie cen na rynku wewnętrznym możliwe jest tylko przy braku wszelkiej konkurencyi zewnętrznej. Obok bowiem kartelu czy trustu, który zmonopolizował lub zjednoczył wyrób danego produktu w całym kraju, powstają takie same związki w innych państwach, dążące do umieszczenia swych wyrobów, gdzie się tylko da. Dlatego też wszyscy kartelowcy, a za nimi i ta część „opinii publicznej", która świadomie czy nieświadomie broni ich interesów, muszą domagać się protekcyonizmu, a nawet ceł uniemożliwiających obcemu towarowi przedostanie się przez granice państwa.

Na tem nie koniec. Zjednoczony za pomocą kartelu przemysł szybko zalewa rynek wewnętrzny; powstaje wtedy kwestya, co robić z nadmiarem produkcyi? A ten nadmiar istnieje i rośnie, gdyż wiadomo, że produkt tem taniej wypada, im bardziej masowo jest wytwarzany. Otóż i ten nadmiar rzuca się na rynek międzynarodowy, a ponieważ musi on tam walczyć z podobnymi nadmiarami produkcyi innych kartelów, więc sprzedaje go się coraz taniej, z bardzo małym zyskiem, czasami nawet z pozorną stratą, t. j. niżej kosztów produkcyi.

Ta strata jest tylko pozorna, pokrywa ją konsument krajowy, zmuszony kupować produkty po szalonych cenach z powodu braku wszelkiej konkurencyi, oraz zmniejszenie kosztów samej produkcyi, wynikające ze wzrostu wytwórczości.

Naturalnie, że wszystko to ma swoje granice: gdy cena jakiego produktu zanadto wzrośnie w danym kraju, zjawiają się konkurenci, którzy nie przystępują do kartelu i zaczynają z nim walczyć. O ile im się to uda, zyski kartelu zmniejszają się, czasami nawet on upada, by później znowu się odtworzyć. Dobry przykład podobnych stosunków dają rafinerye nafty w Austryi, które korzystają z wysokiego cła ochronnego. Są one skartelowane, ale obok tego istnieją i powstają nowe rafinerye, walczące z kartelem. Po pewnym przeciągu czasu kartel się rozwiązuje, cena nafty spada, pewna ilość rafineryi bankrutuje, pozostałe łączą się znowu, ciągną przez pewien czas olbrzymie zyski ze sprzedaży drogiej nafty, by znowu potem doczekać się rozwiązania kartelu. Są jednak gałęzie przemysłu, które z natury rzeczy nie dają się dowolnie rozszerzać, w innych przeszkodę stanowi zbyt daleko posunięta koncentracya kapitału, która zmusza do olbrzymiego ryzyka i przez to ogranicza ilość konkurentów.

W ten sposób tylko, dzięki protekcyonizmowi, mogą dziś tak szybko rozwijać się kartele, to też jest on przez nie ze wszech sił popierany. Wywołuje przytem jeszcze jeden skutek: zaprowadzenie cła ochronnego w jednem państwie zmusza inne do naśladownictwa, gdyż przemysł skartelowany i panujący niepodzielnie na danym rynku taką czyni konkurencyę przemysłowi innych państw, przez wyrzucenie na ich rynki swego nadmiaru produktów, że zmusza je do protekcyonizmu. Tem się też objaśnia ta szalona pogoń za nowymi rynkami, rozwój polityki kolonialnej, cechujący wszystkie większe państwa dzisiejsze.

Możemy teraz wrócić do naszego założenia, mianowicie do wyjaśnienia sojuszu między agraryuszami a przemysłowcami na wspólnym terenie protekcyonizmu. Otóż, protekcyonizm dzisiejszy różni się zasadniczo od dawnego: gdy poprzednio szło o *ochronę* rynku wewnętrznego, dziś celem jest *zdobycie* obcych rynków; dawniej za pomocą ceł ochronnych stwarzano przemysł krajowy i dawano szerokim masom ludowym możność zarobkowania, dziś przy protekcyonizmie niedość, że w przyspieszonem tempie rośnie koncentracya kapitału, zmniejsza się ilość fabryk, ale często zacieśnia się sama produkcya. A ponieważ jednocześnie rośnie cena produktów, nie dziw więc, że rozgoryczenie ludności wzmaga się, a z nią ilość przeciwników „ochrony pracy narodowej". Z tą rosnącą opozycyą wielki przemysł sam nie mógł poradzić; potrzebny mu był sojusznik i tego znalazł w agraryuszach, którzy ze swej strony oddawna biadają nad „upadkiem rolnictwa" i dążą do zaprowadzenia ceł, któreby im pozwoliły sprzedawać swe produkty po wyższej cenie. To jest główna przyczyna tej spółki Roberta w wysokich butach z Bertrandem o pugilaresie wyładowanym

kuponami akcyjnymi, którą powszechnie spostrzegamy.

Na zewnątrz ta zmiana przejawia się w kartelu zachowawców, którzy głównie rekrutowali się zawsze z właścicieli ziemskich, z narodowymi liberałami, oportunistami, czy jak tam nazywano partye, reprezentujące interesy przemysłu. We wszystkich ważniejszych wypadkach te partye idą obecnie ręka w rękę, w kwestyi ceł ochronnych są one zawsze jednej myśli.

Jednocześnie musiało się zmienić zapatrywanie zwolenników demokracyi społecznej na wolny handel i protekcyonizm. Jeżeli weźmiemy np. Niemcy, gdzie myśl teoretyczna jest pod tym względem najbarbardziej rozwinięta, to tam jeszcze przed pięciu laty odbyła się na zjeździe sztutgarckim dyskusya między Lehipplem a Kautskim, z których pierwszy sprzeciwiał się rezolucyi, wyraźnie skierowanej przeciwko protekcyonizmowi. Ale już w 1901 r., w Lubece bez dyskusyi przyjęty został wniosek, potępiający w bardzo ostrych wyrażeniach projekt podwyższenia ceł. Wiadomo, że dziś ten projekt stał się prawem, po przyjęciu go przez parlament niemiecki, ale odpowiedzią na to były wybory z kolosalną zmianą ilości głosów, które otrzymały poszczególne partye. Lecz spoistość konserwatywno-liberalnego kartelu protekcyonistycznego została przez to zdaje się tylko zwiększona. *Aleks.*

O prawdę.

Przesyłając manuskrypt artykułu „Kłamstwa w życiu dziecka", zaznaczyłem w liście do Redakcyi, że artykuł ten nie jest moim oryginalnym, lecz przeróbką obszerniejszej pracy, zamieszczonej w *Unterrichtsblatt* przez niepodpisanego autora. Artykuł zaś sam podpisałem: „Opracował i przełożył Bertold Morwin". Nie wiem, dlaczego Redakcya uznała za stosowne podpis ten zmienić, a artykuł zaopatrzyć w litery B. M.*)

Artykuł „Kłamstwo w życiu dziecka" jest śmiały, bardzo śmiały. Wybiega po za szablon, argumenta granicząc nieraz z paradoksalnością. Tak wielu przynajmniej wydawać się musi. Czyż jednak mogło być inaczej wobec okoliczności, że autor wywody swoje opiera o tło, tak różne od dotychczasowego? My nie jesteśmy przyzwyczajeni do śmiałych twierdzeń w dziedzinie, gdzie nas przyzwyczajono do utartego szablonu i dlatego zdaje nam się, że myśl wybłyskująca nagle i śmiele i dokonująca — że się posłużę nietscheańskim zwrotem — „einer Umwertung der Werte", musi też być i nieprawdziwą.

Służę przykładem.

Kiedy w r. 1889 prof. zurychski dr. Dodel-Port w słynnej publikacyi wypowiedział pogląd, że w szkołach powinno się zastosować darwinowską metodę powstawania gatunków i stopniowego przeobrażania się tworów niższych w wyższe, zagrożony w swych podstawach i bycie obóz przeciwny wysyłał najtęższych przedstawicieli, całą swą straż przednią na udowodnienie... wiecie czego?... nieprawdziwości teoryi darwinowskiej. A było to w czasie, kiedy darwinizm zyskał już prawo obywatelstwa do tego stopnia, że żaden szanujący się myśliciel i badacz nie chciałby bez narażenia się na kompromitacyę wręcz odmówić darwinizmowi naukowego uzasadnienia.

Tak więc na myśl śmiałą padł (i pada zwykle) krzyk: myśl ta jest fałszywą, nieprawdziwą!

*) Dlatego, że pod artykułami nie można umieszczać wielowyrazowych podpisów, a podpisanie całego imienia i nazwiska uważaliśmy za niewłaściwość z tych samych względów, które p. Merwin wyżej przytacza.

Tak samo też reaguje się zawzięcie, kiedy rozumna, oświecona część współczesnej pedagogii powiada: Przestańcie dzieci uczyć kłamstwa! Dajcie pokój „bocianim" historyjkom! Oprzyjcie wychowanie o wiedzę współczesną, o najświeższe zdobycze nauk przyrodniczych! Niech dziecko wie, czem jest! Niech nauczy szanować swą godność człowieczą!

Autor artykułu „Kłamstwo w życiu dziecka" powiada, że dziecku kłamstwo jest przyrodzone, że dusza jego nie jest — jak tego chce Rousseau — tabula rasa, na którem życie dopiero wyciska swe znaki, lecz że pewne przywary już atawistycznie w istotę dziecka zostały przeszczepione. Do takich przywar zalicza w pierwszym rzędzie pociąg do kłamstwa, do wprowadzania otoczenia swego w błąd, właśnie wskutek kiełkującej świadomości „walki o byt". Wobec tego autor artykułu „Kłamstwo w życiu dziecka" stawia regułę pedagogiczną: walczyć z kłamstwem u dziecka można stwarzając warunki bytu, w których niepotrzebnem jest posługiwanie się kłamstwem, zapewniając dziecku taką autonomię, iż powiedzenie prawdy, odsłonienie istotnych zamysłów, nietylko nie jest pogorszeniem sytuacyi życiowej, lecz przeciwnie, jej polepszeniem i usilnieniem.

To jest przewodnia myśl artykułu. Nie dojrzał jej p. Staniszewski, kiedy z artykułu wyłowił tylko szereg rzekomych parodoksów i sprzeczności, które — jak to już zaznaczyłem — wystąpić musiały.

Myśl ta przewodnia jest dlatego oryginalną, że przewraca i unicestwić się stara dotychczasową metodę postępowania pedagogicznego. Dotychczas postępowano tak: przejawy kłamstwa gnębiono wszelkimi środkami, jak komu było dogodnie: „różdżką, którą Duch Święty nieposłuszne dzieci ćwiczyć kazał", zwymyślaniem, upokarzaniem, tresurą „dippoltowską". Autor zaś artykułu „kłamstwo w życiu dziecka" powiada tak: nie czekać przejawów kłamstwa, nie podchwytywać drobiazgowo i pedantycznie, kiedy dziecko dla zawarowania interesów osobistych i ulegając instynktowi samozachowawczemu opancerzy się kłamstwem z konieczności (Notlüge) — lecz wytworzyć takie dla dziecka warunki bytu, w których kłamstwo wcaleby się przejawić nie mogło, w których kłamstwo nie byłoby naturalną obroną i bronią w walce o byt.

„W fałszywym ustroju warunków społecznych kryje się początek i koniec tego zła, które chce walczyć autor" — kończy swe wywody pan Staniszewski. Prawda! Wszak ten sam wniosek wypływa z treści artykułu „kłamstwo w życiu dziecka". Na tym punkcie panuje idealna harmonia między autorem artykułu a p. Staniszewskim.

Bertold Merwin.

KRONIKA.

— D. 27 z. m. w Tyflisie dokonano zamachu na głównego naczelnika Kaukazu, generał-adjutanta ks. Golicyna. Do powozu wtargnęli trzej ludzie, uzbrojeni w kindżały, zadając księciu rany w głowę i rękę. Napastnicy zbiegli i ukryli się w krzakach, dogonili ich jednak policyanci, zabili jednego, a dwaj inni skutkiem zadanych im ran zmarli.

— D. 26 z. m. odeski sąd wojenny, okręgowy rozpatrywał w Chersoniu sprawę więźniów, Jakóba Jewłagina i Teodora Krzyżanowskiego, obwinionych o zamordowanie dozorcy więzienia i skazał ich na karę śmierci przez powieszenie. (*Odesk. Now.*).

— Gubernator połtawski ogłosił w *Gub. Wied.* rozporządzenie, zabraniające zbiegowisk i schadzek w miejscach publicznych we wsiach Kostroma, Karantin, Demurówka, Kurczanówka, Czeczelenka, Nowosiołówka, Rakówka i Dzihorewka, położonych w gminie krukowskiej. Jednocześnie nakazano meldować policyi przyjezdnych i wyjeżdżających z tych wsi. Winnym zagrożono karami administracyjnemi do 3 miesięcy więzienia lub 500 rb. grzywien.

Wiadomości społeczne. Według obliczenia inspekcyi fabrycznej, w r. 1902 zdarzyło się w całem państwie 27,135 wypadków nieszczęśliwych z robotnikami przy pracy. Z tej liczby na okrąg fabryczny petersburski przypada 7,147, moskiewski 5,793, warszawski 4,652, charkowski 3,522, kijowski 3,171 i nadwołżański 2,850.

— Zatwierdzono ustawę kasy posagowej w Zduńskiej Woli, oraz pogrzebowej w Pabianicach.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło Towarzystwo opieki nad ubogiemi dziećmi w Petersburgu. W zakres działalności tej instytucyi wejść mają: urządzanie żłobków i ochron, szkół dla sług i warsztatów rzemieślniczych, opieka nad dziećmi do lat 16, a następnie zapewnienie im odpowiedniego zajęcia.

— *Kur. Warsz.* donosi. Z zezwolenia władzy rabini: grodzieński W. Margulies i połtawski H. Rabinowicz zwołują zjazd rabinów z Rosyi, który odbędzie się niezadługo w Grodnie. Współudział przyrzekło 60 rabinów, przeciwnych syonizmowi. Zjazd bowiem, według zapewnienia gazet hebrajskich, postawił sobie za jeden z celów głównych obmyślenie sposobów walki z ruchem syonistycznym.

— W Berlinie, przy licznym udziale przedstawicieli władz i delegatów, odbyła się druga konferencya w sprawie zwalczania handlu żywym towarem. Komitet dotychczasowy wykrył 42 handlarzy i uratował od hańby 56 dziewcząt.

— W Krakowie odbył się wiec kobiet, na którym uchwalono walkę z zalewającym Galicyę przemysłem obcym, podniesiono doniosłość zadań kobiety, która powinna pracować nad ekonomicznem odrodzeniem kraju, tępić przesądy i krzewić miłość i szacunek dla swojszczyzny. P. Obtułowiczowa, stawiając za przykład działalność ekonomiczną kobiet innych narodów, dodała: „Wstyd i hańba dla nas, żebyśmy owoce suszone sprowadzali z Ameryki, a konfitury i przeroby owocowe z Bodenbachu! Wstyd i hańba, aby cukry i czekoladę sprowadzać z Niemiec i Szwajcaryi, gdy własnym fabrykom grozi upadek z powodu braku popytu, lubo wyroby ich są dobre, nawet doskonałe. A wódki i likiery, a miody, z których Polska niegdyś słynęła, to wszystko możnaby przecież w kraju wyrabiać! Naszą cykoryę i musztardę kupujemy tylko wtedy, gdy kupiec przylepi na niej obcą etykietę! W Galicyi jest mnóstwo rzek i stawów, a jednak ryby sprowadza się z zagranicy. Kraj nasz posiada fabryki mydeł, lecz my importujemy je z Berlina, Paryża, Wiednia i Czech. Nawet zapałkami cudzoziemcy zalewają Galicyę bez wszelkiego z naszej strony protestu... Kupujmy tylko to, co sami możemy wyrabiać i co ziemia nasza nam daje, a niechaj to hasło nie będzie pustym frazesem, lecz zasadą, obowiązującą nawet przy kupowaniu najbłahszej rzeczy." Taki sam wiec odbył się we Lwowie.

Z Poznańskiego. Polki na Górnym Śląsku postanowiły założyć w Katowicach czytelnię dla kobiet, oraz powzięły myśl wydawania pisma ilustrowanego, dwutygodniowego w Gliwicach.

— W radzie miejskiej, poznańskiej radni Polacy interpelowali nadburmistrza Wilmsa, jakiem prawem przyjął pomnik Bismarcka pod opiekę miasta, a tem samem obciążył budżet miejski nowym ciężarem, bez upoważnienia Rady? Jakiem dalej prawem przemawiał w czasie odsłonienia pomnika w imieniu całego miasta, choć akt ten obrażał uczucia całej ludności polskiej miasta? Interpelanci powoływali się przytem na ten fakt, że wszystkie pisma niemieckie, wychodzące w Poznaniu, z wyjątkiem *Posener Tageblattu*, potępiły myśl stawiania pomnika Bismarckowi w mieście polskiem. Oczywiście, większość niemiecka Rady przeszła nad interpelacyą do porządku dziennego. (*Gaz. Pols.*).

— Ministeryum pruskie wydało rozporządzenie, aby urzędnicy państwowi zerwali wszelkie stosunki z polskimi bankami ludowymi.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty wydało polecenie, ażeby przy obsadzaniu posad etatowych lekarzy w gimnazyach i progimnazyach żeńskich dawano pierwszeństwo kobietom.

— Na prośbę kuratora okręgu naukowego tomskiego ministeryum oświaty pozwoliło przyjąć do instytutu technologicznego 21 Żydów nad normę. Podobne prośby wniosły uniwersytety moskiewski, jurjewski i noworosyjski.

— Kurator warszawskiego okręgu naukowego zawiadomił dyrektorów gimnazyów i szkół realnych, że uczniom, opuszczającym te zakłady przed ich ukończeniem, powinny być wydawane świadectwa o ukoń-

czeniu danej liczby klas, dające im prawo do korzystania z ulg wojskowych II kategoryi i że wydawanie tych dokumentów należy do obowiązków zwierzchności zakładów naukowych, bez podawania o to próśb.

Literatura i prasa. *Rusk. Słowu* zabroniono sprzedaży pojedynczych numerów.

— Redakcya *Biblioteki Samokształcenia* ogłosiła konkurs na zbiorek „złotych myśli" z jej wydawnictw; nagroda 500 rb. Oryginalny sposób zdobywania abonentów!

Ze sztuki. Zarząd muzeum przemysłowego, miejskiego we Lwowie ogłosił konkurs na trzy projekty z zakresu sztuki stosowanej, z trzema nagrodami każdy, a mianowicie: 1) oprawy wydawnictwa dzieł malarzy polskich p. t. „Sztuka polska" (100, 80 i 60 koron); 2) kominka majolikowego wraz z armaturą, oraz pieca majolikowego (100, 60 i 40 k.); 3) sygnatury bibliotecznej (ex-libris) do książek biblioteki Muzeum przemysłowego we Lwowie (50, 30 i 20 k.).

— Towarzystwo artystyczne w Moskwie ogłosiło konkurs na budowę gmachu szkoły sztuk pięknych. Nagrody trzy: 3,000, 2,000 i 1,000 rb.

Klęski żywiołowe. Południowo - zachodnią część Anglii nawiedziła ulewa, czyniąc olbrzymie spustoszenia. Niektóre miejscowości na przestrzeni kilkudziesięciu mil zamienione zostały w wielkie jeziora.

Katastrofy. W Poznańskiem, na rzece Warcie, pod Promnicami, przewróciła się łódź z robotnikami — utonęło 5 osób.

— Na st. Lublin wpadły na siebie dwa pociągi towarowe - maszyniści ranieni.

— Na kolei Władykaukaskiej zderzył się pociąg towarowy z osobowo-towarowym — kilku podróżnych poranionych.

— Na kolei Moskiewsko-Windawskiej, w pobliżu Niekludowa, wykoleił się pociąg towarowy — zabity jeden człowiek, kilku pokaleczonych.

— Na st. Żmerynka, kolei Południowo-Zachodniej, wybuchł worek prochu w jednym z wagonów klasy IV — 6 osób zginęło na miejscu, 20 ciężko pokaleczonych odwieziono do szpitala, 37 dotkliwie poparzonych.

— Około Honkongu zatonął parowiec „Onking," a wraz z nim 50 ludzi.

— Podczas robót przy budowie kolei podziemnej w Nowym-Yorku, odłamy skał zasypały 14 robotników, Włochów,

— Pod Dean, w stanie Iowa, wykoleił się pociąg osobowy — stracił życie pułkownik „Armii zbawienia," Holland, wraz z żoną; kilkanaście innych osób śmiertelnie lub lżej pokaleczonych.

— Skutkiem zamachu w celu zrabowania bankierów nowoyorskich, powracających z wydanej na ich cześć uczty przez kolegów w S. Francisco, wykoleił się pociąg Express na kolei Oceanu Spokojnego. Bankierzy wyszli cało, zaś około 30 innych podróżnych odniosło rany.

Zmarli. Adam Gliszczyński, b. profesor Szkoły Głównej i uniwersytetu warszawskiego.

— Dr. Seweryn Zaleski, długoletni lekarz naczelny szpitala św. Ducha w Warszawie.

— Maurycy Rollinat, kompozytor i poeta francuski, w Paryżu.

— Dr. Karol Reifenkugel, dyrektor biblioteki uniwersyteckiej w Czerniowcach, autor kilku dzieł naukowych, polskich.

— Wiktoryn de Joncières, kompozytor muzyczny, w Paryżu

— Dr. Oskar Berggrünn, krytyk muzyczny i wybitny dziennikarz paryski; pochodził z Krakowa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Autora artykułu „Dwie miary" prosimy o zgłoszenie się do redakcyi lub przysłanie adresu.

Panu W. L. w Tomsku. Przesyłki nie otrzymaliśmy.

P. J. W., profesorowi gimnazyalnemu w Krakowie. Książkę otrzymaliśmy; będzie o niej wzmianka w notatkach bibliograficznych.

Panu K. D. w Mińsku. Pismo to nie ma u nas debitu. Dzieło, o które Pan zapytuje, wyjdzie za granicą, ale prawdopodobnie nieprędko. Już na ukończeniu.

Panu Kurowskiemu w Aschabad. Żądany numer wysyłamy powtórnie. Musiał zaginąć na poczcie.

Pani J. Korn. w Aleksinie. Historya Józefa Chociszewskiego, Gramatyka Bema, Botanika Heilperna. Na razie co do zoologii i geografii żądania Pani zaspokoić nie możemy; postaramy się rozpytać, może co dobrego w tym względzie się znajdzie. Zwracamy jednak uwagę, że dzieci nie powinny uczyć się z książki. Niema nawet takich podręczników, któreby do tego służyć mogły.

OFIARY.

Od pani Janiny Z. z Żytomierza na wpisy dla studentów — rb. 200.

Na powodzian: W. Kurowski z Aschabadu rb. 3; Edzio, Kazio, Zosia i Michaś Borkowscy z Berska rb. 10.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Октября 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.